Nr. 204. Lwów — Czwartek dnia 5 Września. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Wyjątkowe ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 20 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Wawrzyńca | Ewtychija M.
Jutro: św. Zacharyasza | Warftołomeja

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 5 m. 29
Zachód „ „ 6 „ 27

Długość dnia g. 12 m. 58
Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 4 września.

Cesarz niemiecki musiał być bardzo mocno podrażniony, gdy w poniedziałek wygłaszał swój toast, znany z wczorajszych telegramów. W kronice notujemy zajście, którem specyalnie w tym wypadku socyaliści zasłużyli na takie ostre wyrazy. Chcieli oni w całym kraju solidarnie demonstrować przeciw obchodom sedańskiej rocznicy, lecz poddając się ogólnemu prądowi, zaniechali tego zamiaru i tylko kilka ich związków w Berlinie, obstając przy pierwotnem postanowieniu, zgromadziły się na jakieś wiece, które jednak policya rozpędziła. Znając burzliwe usposobienie socyalistów niemieckich, ich brutalność, która zresztą stanowi rys charakteru pruskiego, przypuszczamy, że policya, rozpędzająca owe wiece, natrafiła na pewny opór i posłyszała brzydsze wyrazy, ubliżające pamięci sedańskich bohaterów, niż podają berlińskie dzienniki. Gdyby tak nie było, to może za ostro brzmiały słowa cesarskiego toastu, a jeśli tak było, to i patryotyczne uczucie i miłość wnuka zupełnie wyjaśniają podrażnienie cesarza. O ile tedy gniew ten mógł być naturalny i jako wybuch oburzenia sympatyczny, o tyle znów jako publiczne słowo monarsze, za mało był w swym objawie ogólnikowy. Wprawdzie cesarz Wilhelm zwykle wyraża swe niezadowolnienie przynajmniej o jeden stopień za silnie, ale tak ostro jeszcze nigdy się nie odezwał, chociaż już nieraz wskazywał na socyalistów, jako na wrogów, którzy zagrażają porządek z socyalistami. Można nawet powiedzieć, że rzucać takie groźby stało się jego zwyczajem, — tak one są częste, a to jeno wskazuje, jaką troską o przyszłość przejmuje go rozwój socyalizmu, pomimo wszelkich reformowych i policyjnych środków, używanych przeciw jego wyznawcom. Jak nieraz bywały wszędzie, tak zapewne nieraz jeszcze nastręczą się takie trudne okoliczności, kiedy ostateczność zmusi używać żołnierzy przeciw żywiołom z łona własnego narodu. To tak naturalne, że niema w kraju, w którymby tego środka nie znano, nie ma formy rządu, którąby go nie używała. Ale czem naturalniejszy ten środek, tem mniejsza potrzeba wspominać o nim, zwłaszcza, kiedy się nie ma zamiaru natychmiast zamienić słowa w czyn. Takie groźby zawsze sprawiają niemiły efekt, bo co innego jest uciec się do ostatecznej konieczności i kilkudziesięciu trupami powstrzymać krwawą powódź, w której może utonąć państwo, dynastya i społeczeństwo, a co innego mówić o tem przy lada sposobności, jako o rzeczy przynajmniej tylko łatwej, że można brać ją za temat do toastów. Również jako przestroga, mają te cesarskie słowa wątpliwą wartość, bo przestroga musi być krótka, a znać zawsze bez skutku, kiedy je trzeba coraz powtarzać, potęgując ich ostrość. Doszło już nareszcie do tego, że jej dalej potęgować nie można. „Zgraja ludzi, niegodnych nazywać się Niemcami“, „zdradziecka banda“ — jakież jeszcze mocniejsze można powiedzieć? Kiedy tak powie człowiek prywatny, deputowany, niech nawet minister, to będzie zwrot, słuszny, czy niesłuszny, ale dość zwyczajny, a co ważniejsza, nie obowiązujący do niczego. Ale z ust monarchy, który tak zapowiedział czynów takich, na jakie zasługuje „zgraja ludzi niegodnych“ i „zdradziecka banda“, bo jakże monarcha może z całą świadomością tolerować istnienie takiej zgrai i takiej bandy? Z tej tedy charakterystyki socyalistów wypływa jak wniosek z przesłanki to, co następnie rzekł cesarz: „Oby cały naród znalazł w sobie siłę do odparcia tych niesłychanych napaści, bo w przeciwnym razie zawołam was, żołnierze mej gwardyi, do walki, która nas uwolni od tych żywiołów“.

Słowo się rzekło, a czy łatwo będzie je wykonać? Naród może nie znajdzie w sobie nie siły, lecz ochoty do tępienia socyalistów. Ustawy wyjątkowe były tak niepopularne, że je zniesiono. Potem rząd chciał je przywrócić, przedstawił projekt odpowiednio przerobionego kodeksu, lecz parlament się zżył i odrzucił ów projekt; oczywiście nie uczynił tego ze słabości do socyalistów, ale z nieufności do rządu, do jego doświadczonej metody stosowania ustaw. Pod tym względem nic się nie zmieniło, zatem trudno przypuszczać, że przez parlament przejdzie jakaś nowa, a ostra, wyjątkowa ustawa, której uchwalenie, jak się zdaje, zapowiadają słowa cesarskie i której potrzebie od pewnego czasu szeroko się rozpisuje *Norddeutsche Allg. Ztg.* Żadnym innym sposobem nie może naród odeprzeć „tej niesłychanej napaści“, bo on w swoim rozwoju w sobie socyalistyczną zdolność. Pozostanie tedy to, co „jako miecz brząkający“ powołał żołnierzy gwardyi.

Czy to jest zapowiedź zamachu stanu? zniesienia konstytucyi? powrotu do despotyzmu, opartego o bagnety? Kiedy przeminie wrażenie obchodów sedańskich, narzucą się na nowo te pytania i on ich oczywiście nie rozwiąże, lecz będzie o nich myśleć z coraz większą goryczą i z coraz silniejszą nieufnością do rządu. Więc niedobre skutki może mieć ten niesłychany toast cesarza Wilhelma.

Powtórzyć tu możemy to, co o tym monarsze powiedział korespondentowi paryskiego dziennika *Matin* przywódca niemieckiego „stowarzyszenia humanistów“: „Zamiary cesarza są najlepsze, dusza jego pełna najszlachetniejszych dążeń, inteligencya wielka, wiedza taka, jakiej wymaga jego stanowisko, ale temperament gorący, więc często nie może on ustrzedz się błędów“.

Z Konstantynopola donoszą, że ambasadorowie Anglii, Rosyi i Francyi zażądali od Porty, aby komisya nadzorcza, która powinna być utworzona w Konstantynopolu dla spraw ormiańskich, składała się z dwóch chrześcijan i dwóch mahometanów i ażeby jej obradom przewodniczył minister spraw zagranicznych, a gubernatorowie prowincyi, aby byli mianowani w porozumieniu z ambasadorami. Sułtan podobno sprzeciwia się obu tym żądaniom. W Konstantynopolu utrzymują, że lord Salisbury oświadczył ambasadorowi tureckiemu w Londynie, że Turcyi nie wolno powoływać się na traktaty, bo sama się ich nie dotrzymuje i nie chciała dotrzymać swoich przyrzeczeń. Jest to jednak pogłoska, równie niepewna, jak krążąca w Londynie wersya, że sprawa ormiańska będzie oddana pod rozpatrzenie europejskiego kongresu.

Natomiast faktem jest, potwierdzonym przez *Pol. Corr.*, że ambasador turecki w Londynie Rustem-basza przesłał Porcie raport o rozmowie swej z Salisburym, a w tym raporcie zaznacza, iż zachowanie się angielskiego premiera, jego słowa i ton ich były „wręcz nieżyczliwe“. Lord oświadczył, iż Anglia popiera odporne stanowisko Porty, nie pójdzie już z żądań dotyczących reform w Armenii i dopilnuje ustanowienia w Konstantynopolu komisyi nadzorczej nad sprawami w Armenii, zaś komisya ta powinna być pod kontrolą ambasadorów.

Ponieważ nader wpływowe koła tureckie, zawsze jeszcze liczące na wewnętrzną niezgodę mocarstw w sprawie ormiańskiej, opierają się wykonaniu żądań angielskich, przeto — jak w Konstantynopolu głoszą — ma podać się do dymisyi minister spraw zagranicznych Turkan-basza, a następcą jego będzie podobno minister tych spraw Said-basza, wróg wszelkich zagranicznych wpływów na Turcyę.

Zanosi się na pewne zmiany w ugrupowaniu stronnictw w Radzie państwa. Już teraz w południowych prowincyach monarchii czynią się gorliwe starania o połączenie wszystkich włoskich posłów do Rady państwa w jeden klub parlamentarny. Dotychczas jak wiadomo tylko posłowie włoscy z Trentyna tworzyli osobny klub, zaś włoscy posłowie z Gorycyi, Istryi, Dalmacyi i Tryestu znajdowali się w klubie lewego centrum, którego przewodniczącym był hr. Franciszek Coronini. Ponieważ hr. Coronini złożył mandat i usunął się od życia politycznego, przeto włoscy członkowie klubu lewego centrum chcą z niego wystąpić i godzą się na przystąpienie do jednego wspólnego klubu wszystkich posłów włoskich. Myśl utworzenia takiego klubu wyszła od posłów z Istryi. W zasadzie godzą się na nią wszyscy włoscy posłowie, a tylko pogodzić trzeba będzie rozmaite specyalne życzenia włoskich części monarchii. Nowy ten klub posłów włoskich liczyłby czternastu członków.

W Styryi poruszono także myśl połączenia wszystkich słoweńskich posłów w jeden klub, któryby tworzył odrębną frakcyę w klubie Hohenwarta. Myśl tę propaguje gorąco organ Słoweńców styryjskich *Südsteirische Post*. Udowadnia on, że zaraz po rozbiciu koalicyi przez lewicę, powinni byli wszyscy secesyoniści słoweńscy przystąpić na nowo do klubu Hohenwarta, coby było zadośćuczynieniem i satysfakcyą dla tego klubu za dzielne stanowisko, zajęte przezeń w sprawie gimnazyum cylejskiego. Teraz w obec bliskiego zamianowania definitywnego gabinetu i rozpoczęcia nowej sesyi Rady państwa, najlepszy czas naprawić błąd. Ludności słoweńskiej takie złączenie się jej posłów i przystąpienie do potężnego klubu parlamentarnnego musi przynieść znaczne korzyści, bo skoro 7 słowiańskich posłów mogło przeprzeć swe żądanie przeciw 107 głosom lewicy niemieckiej, to oczywiście połączona grupa wszyst ich południowo-słowiańskich posłów będzie mogła zdziałać nierównie więcej.

Konferencya biskupów węgierskich zakończyła onegdaj swoje obrady. Na razie trzymane są one w wielkiej tajemnicy, wszelako katolicki organ węgierski *Magyar Allam* podaje niektóre najważniejsze szczegóły powziętych uchwał. Otóż episkopat postanowił wydać dwa listy pasterskie, jeden do duchowieństwa, a drugi do wiernych. Duchowieństwu poleci nie ustawać w walce przeciw antykościelnym ustawom, nadal prowadzić metryki chrztu, śmierci i małżeństw, wogóle prowadzić urzędy parafialne zupełnie tak, jak przed wydaniem ustaw o ślubach cywilnych i o metrykach państwowych. Drugi list pasterski do wiernych zaznaczy, że wprawdzie zmuszeni są wierni zawierać śluby cywilne, gdyż w przeciwnym razie mogłyby dla nich wyniknąć znaczne szkody natury prawnoprywatnej, mimo to jednak powinni pamiętać, że tylko kościelny ślub nadaje małżeństwu charakter sakramentalny, więc też bezwarunkowo powinni zawierać także ślub w kościele, przed zawarciem zaś ślubu cywilnego powinni zgłosić się do proboszcza, poinformować się, czy nie zachodzą przeszkody w prawie kanonicznem przewidziane i starać się o usunięcie w drodze dyspensy tych przeszkód, które usunąć się dadzą. Kto nie zawrze ślubu kościelnego, podlega karom kościelnym, z których jedną n. p. jest odmówienie katolickiego pogrzebu.

List ten ogłoszony będzie z ambon w niedzielę 29 września, zatem na dwa dni przed wejściem w życie ustawy o ślubach cywilnych.

Korespondencye.

Wiedeń 1 września.

Giełda *in dulci jubilo!* Kursa podnoszą się w iście szalony sposób. W ubiegłym roku Wiedeń zajmował kierujące stanowisko w tym zapamiętałym ruchu zwyżkowym. Mówiono o wielkich planach upaństwowienia kolei, które miał minister hr. Wurmbrand przeprowadzić; mówiono o sieci kolei lokalnych, która powstać miała na Węgrzech i w Austryi, a której zapotrzebowanie żelaza, maszyn, materyału budulcowego i t. d. ożywiłoby produkcyę przemysłową; wreszcie gdy nie dostawało innych podniet finansowych, przywołano na pomoc ostatni niezawodny argument: regulacyę waluty! Bo patrząc ze stanowiska giełdowego, po cóż się reguluje walutę? Kupiec, rolnik, fabrykant sądzą zapewne, że się złoto zakupuje, aby państwo miało stały środek obiegowy, aby uchronić handel od chwiejności kursu pieniędzy, aby większe zyskać zaufanie za granicą i ściągnąć do państwa na tańszych warunkach kapitały. I słusznie tak sądzą. Giełdowy jednak spekulant jest innego zdania. Regulacya waluty, to taki wedle niego interes, w którym państwo zawsze przez lat kilka stoi przed jakąś pożyczką, albo jest po jakiejś pożyczce i przeto dla utrzymania swego kredytu głaskać musi kapitalistów.

Otóż nic się z giełdowych obliczeń nie spełniło. Nie upaństwowiono kolei, nie rozwinięto szerokiej akcyi budowy kolei lokalnych, a mała pożyczka złota, którą zaciągnięto przed kilku miesiącami, nie warta nawet wzmianki. Kursa pomimo tego podniosły się, a kiedy powodów na wytłómaczenie zwyżki zabrakło, orzeczono, że podnieść się muszą, bo papiery austryackie są więcej dziś warte w skutek ciągłego spadku stopy procentowej.

Doszło do tego, że większa część akcyi bankowych, przemysłowych i kolejowych oprocentowuje się podług kursu dzisiejszego po 4 do $4^{1}/_{2}$. Słusznie można zapytać: dlaczego prywatne przedsiębiorstwo, ulegające różnym przypadkom, narażone na straty, konjuktury niepomyślne, łatwe zmniejszenie się dochodów, cieszyć się ma takim samym kredytem, jak papier państwowy? Dlaczego szukający nakładu mały kapitalista włożyć ma swe oszczędności w bankowe, czy przemysłowe akcye, kiedy one dają procent nie większy od procentu rent i obligacyi i kiedy te przemysłowe i bankowe papiery nie dostarczają mu żadnej premii za możliwe straty?

Mimo takich każdemu narzucających się wątpliwości, spekulacya na zwyżkę nie ustawała, jakby w rzeczy samej wedle niemieckiego przysłowia: „drzewa aż pod niebo wyrosnąć mogły.“ Akcye kredytowe n. p. od końca r. 1894 po dziś podniosły się o 10 pct., a w ciągu sierpnia o blisko 4 pct.

W tym roku jednak nie Wiedeń już, ale Berlin gra na zwyżkę. Bankierzy niemieccy, którzy wedle niedających się sprawdzić pogłosek i obliczeń, stracili na spekulacyi zniżkowej w papierach austryackich około 200 milionów zł., widząc, że przełamać nie mogą silnej pozycyi wiedeńskiej giełdy, zręcznego dokonali odwrotu i w austryackich, zarówno jak w niemieckich papierach zaangażowali ostatnie siły. Dzięki tej to okoliczności, a pomimo niepomyślnych cyfr bilansu handlowego monarchii austryackiej za pierwszych 7 miesięcy, waluta nasza nietylko nie spadła, ale owszem, z powodu napływu marek i weksli niemieckich za kupowane austryackie papiery, nawet podniosła się i ażio, które przed pół rokiem wynosiło 3 pct., dziś nie wiele więcej wynosi, niż pół pct.

Musi przyjść w końcu chwila przykrego rozrachunku, bo taka obfitość kapitału, nie zaoszczędzonego, ale spowodowanego sprzedażą walorów, pociąga za sobą tylko większe zadłużenie Austro-Węgier za granicą, a pociąga je w okresie, kiedy handel najsmutniejsze od lat kilkunastu wykazuje cyfry.

W Niemczech zwyżka akcyi bankowych i przemysłowych od pół roku dochodzi do 35 pct. Jest to stanowczo za wiele i za prędko. Dlaczego n. p. akcye Banku Niemieckiego podskoczyły z 171·6 pct. na 206·1 pct.? Dlaczego akcye huty „Laura“, „Bochumskie“, „Harpeńskie“ podskoczyły o 24—28 pct.? Dla szerokiej publiczności opowiadają giełdziarze bajeczkę o niesłychanym wzroście produkcyi żelaza i węgla. Cóż w tem prawdy? Oto Rosya sprowadza żelazo niemieckie, a także do Azyi wschodniej eksport tego towaru wzrósł znacznie.

Dzięki temu zapotrzebowaniu żelaza, wzrósł także popyt hut o węgiel. Tyle tylko jest prawdy, ale nie wolno zapominać, że ten wzrost produkcyi żelaznej wcale nie jest zjawiskiem stałem. Wzmogła się produkcya żelaza, bo rolnicy więcej go potrzebują, wstrzymywali się oni z zakupywaniem go, jak długo mogli; dziś mimo, że ich położenie ekonomiczne się nie zmieniło, kupować muszą. Zakupią ile potrzeba i znowu ustaną. Nie jest to więc stały czynnik pomyślności producentów fabrycznych i bynajmniej nie wpływa on tak na kurs akcyi, jakby wmówić chciano w publiczność.

Gdzieindziej więc szukać należy wytłómaczenia zwyżki na giełdzie berlińskiej, która i wiedeńską porywa za sobą. Zdaje się, że banki berlińskie bardzo znaczny biorą udział w finansowaniu różnych towarzystw południowo-afrykańskich kopalni złota. Nie da się zaprzeczyć, że produkcya złota w południowej Afryce jest olbrzymia, i że bardzo szybko wzrasta. W roku 1890 wynosiła ona 494.869 uncyi (kilogram ma mniej więcej 33 uncyi); w roku 1891: 729.238 uncyi; w roku 1892: 1,210.868 uncyi; w roku 1893: 1,478.473 uncyi; w roku 1894: 2.024 159 uncyi; w pierwszych sześciu miesiącach b. r. wydobyto 1,313.000 uncyi. Ale co innego jest produkcya złota, a co innego spekulacya na nią. Istnieje już kilka tysięcy spółek akcyjnych, które szukają złota, kopią, albo kopać dopiero zamyślają. Gorączka złota, jak ongi kalifornijska, od trzech lat niesłychane przybiera rozmiary w Londynie, a świeżo objawiła się w Paryżu i Berlinie skąd powoli przedostaje się do Wiednia i Pesztu. Towarzystwa akcyjne, które powstały w celu kopania złota, nieraz zdołały w ostatnim roku w Londynie wyśrubowywać swe akcye do t r z y d z i e s t o k r o t n e j ich wartości nominalnej, choć nikt z kupujących te akcye nie wiedział ani gdzie się kopalnia znajduje, ani w ogóle czy znajduje się gdziekolwiek na świecie. Po prostu ludzie wyrzucali pieniądze i wyrzucają jeszcze na rachunek przyszłej eksploatacyi. Zwracam uwagę, że już zorganizowała się szajka oszustów, która wnet pocznie odezwami, zaproszeniami do współudziału i t. d. wyłudzać od łatwowiernych pieniądze. Jakiś Kaplandczyk kupi kilka morgów piasków lub skał i wchodzi w układ ze spekulantami, aby interes sfinansować. O piętnaście mil od tych skał znaleziono złoto. Będzie zatem i tu, a jeśli nie będzie, to cóż szkodzi, że ulżyć kieszeniom kilku Paryżan, Berlińczyków, lub Wiedeńczyków! Czasem taka spółka sprowadza za pieniądze akcyonaryuszy, maszyny, robotników i rzeczywiście odkrywa bardzo bogaty pokład kruszcu. Wtedy akcyonaryusz za 10 złr. dostaje 100, a nawet 1000. Częściej jednak spółka na to się tylko tworzy, aby pieniądzy dostać; często płaci nawet wielkie dywidendy przez rok lub dwa, a gdy kursa akcyi szalenie się podniosą, natenczas owi „przedsiębiorcy“ rzucają je na targ i... ulatniają się ze złotem, — ale europejskiem.

Teraz Barnato, niegdyś akrobata, a dziś jeden z najgłośniejszych spekulantów w akcyach południowo afrykańskich, zamierza założyć bank z kapitałem 40 milionów złr. na eksploatacyę min afrykańskich. W Londynie nie bardzo mu ufają. *Times* ostrzega przed jego i niejakiego Robinsona manipulacyami. Zwrócił się on tedy

---

57)

NA SŁUŻBIE

POWIEŚĆ
ZOFII KOWERSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Upozorowano wyjazd Kowzgirdowej z córką listem naglącym a niespodzianym, w który nikt nie uwierzył. W powietrzu czuć było dramat, tajoną walkę. Udawane uśmiechy i nieszczerość spokoju, w który ubierały się twarze, nie zdołały nikomu wpoić przekonania, że rozstanie następowało w równie pomyślnych warunkach, w jakich odbyło się przywitanie. Leontyna z Mierznicką nie mogły się z sobą nagadać, przeczuwając niejasno, że opuszczenie Zbrucza przez Alinę było w związku z nagłym wyjazdem Kowzgirdowej, a nie mogąc powiązać z sobą tego, co im się udało podsłuchać i dopatrzyć. Były tylko pewne, że o n a była zmartwiona, bo nawet jakieś niedbalstwo kucharza nie zostało należycie naganione.

— Jestem pewna, — mówiła Mierznicka — że się pokazały jakieś nowe długi Skierczyńskie i Kowzgirdowa zwinęła chorągiewkę, nie chcąc utopić posagu córki w tej przepaści.

Ale dlaczego Alinka wyjechała o tydzień wcześniej? — pytała Leontyna.

Najdłużej z gości została w Zbruczu Kierściowa. Skierczyna przed nią jedną otwierała rany swego serca i staruszka czuła się jej potrzebną. Często, nawet w dzień powszedni, jeździły razem do kościoła. Skierczyna czuła się umocnioną i pocieszoną, ile razy wracała z nabożeństwa ze staruszką, którą modlitwa czyniła jakby przeniesioną już duchem w tę niebieską krainę, którą pragnęła zamieszkać po śmierci.

Juliusz rzucił się w wir pracy. Zaczynało się koszenie siana na ogromnych łąkach suchych i błotnistych, które posiadał Zbrucz. Trzeba było zawsze wytężonej energii, by to mnóstwo siana uchronić od zepsucia i zebrać je śpiesznie. Znalazło się też dużo kłopotów mniejszych i większych. Syn jednego z wierzycieli Skierków miał się żenić i literalnie następował Juliuszowi na pięty, czyniąc go odpowiedzialnym za zwłokę w małżeństwie, która młodego narzeczonego doprowadzała do rozpaczy. Nagłe wezbranie wód po ulewie zerwało groblę młyna, stanowiącego znaczny dochód. Musiano wozić nieskończoną ilość faszyny i ziemi, bić pale i śpieszyć z robotą, by ją ukończyć przed możliwą drugą ulewą. Ekonom w jednym z folwarków złamał nogę i leżał bezczynny. Wszystkiemu musiał zapobiegać i zaradzać Juliusz. Praca bez wytchnienia zabrała go sobie, jak swoją własność i ofiarę i ze wszystkich stron wołała na niego. Dawniej się skarżył, że przy niej umysłowo się cofał, że nie miał czasu nawet na przeczytanie dziennika, że męczyła go tak, iż często, wziąwszy dziennik, nie rozumiał, co czytał. Teraz pracę tę błogosławił. Zabijała w nim myśl, a raczej stępiała jej ostrze i dawała mu sen, który nietylko ciału niósł wypoczynek, ale umysłowi przynosił zapomnienie. Czasem czynił sam sobie wrażenie spracowanego zwierzęcia, które idzie tylko pod strachem bata, smagającego je, a marzy jedynie o wyciągnięciu nóg utrudzonych.

Za pomocą tej wytężonej pracy, uciekał od dwóch czyhających na niego uczuć: od tęsknoty za Aliną i od niezadowolnienia z samego siebie, z powodu niezupełnie sprawiedliwego postępowania z Kocią i Kowzgirdową. Unikał teraz towarzystwa matki i babki. Ile razy je spotkał, tyle razy wprowadzenie ich w błąd, jak upiór, stawało między nim a zacnemi kobietami, którym winien był całą prawdę. Oczy Kierściowej często pytająco na wnuku się zatrzymywały, ale widywała go tylko przy stole, od którego zrywał się pierwszy, nie dokończywszy prawie nigdy jedzenia, bo go już wzywano lub oczekiwano na którym z folwarków. Pewnego dnia wszakże zdarzyło się, że zostali na chwilę sami z babunią. Zbliżyła się do niego i swoją przezroczystą, wychudzoną rękę położyła na jego głowie z czułością.

On odsunął się nagle od niej, gdyż przyszła mu obawa, że staruszka zechce znowu dotknąć sprawy, którą mu wrodzona skrytość za własność nienaruszalną uważać kazała.

— Kochaneczku — rzekła Kierściowa, patrząc na wnuka przenikliwie — ty nie jesteś szczęśliwy, ty cierpisz. Nie chcesz być szczery ze mną, ale ja w tobie widzę zarodek burzy i dramatu.

— Babunia wierzy jeszcze w dramata? O jakiej burzy może być mowa we mnie? Życie jest sobie zwykłym komunałem, nie dramatem żadnym! Spojrzyjmy tu na wszystkich, przejdźmy myślą znajomych, całą tutejszą okolicę! Gdzie są dramata? Ludzie żyją w biedzie, w pracy, za raj mając wieczór i część nocy, spędzonej na grze w winta! Zasypiając, gdy myśl ich wkroczyć chce w dziedzinę rozkosznego marzenia, układają kombinacye wintowe. Przez umysł ich przeciągają szeregi kart, szlemy, szlemiki... Młodzieńcy myślą o bogatem ożenieniu się, rachują posagi panien, sperandy, bezdzietnych wujów i ciotki. Gdy się mówi o kobiecie, pierwsze ich zapytanie jest: „A co będzie miała?“ Bieda, wint i bogate małżeństwo! Ale gdzie tu miejsce na dramat? Do dramatu trzeba przynajmniej jednej kropelki gorącej krwi, a my jesteśmy pospolici i bezduszni. Obcinane mamy skrzydła i coraz słabsze nam odrastają. Ubóstwo materyalne czyni nas też nędzarzami moralnymi. Czy babunia zna historyę Norbecia, tego bogatego Norbecia, który skończywszy studya w Petersburgu, wysłany został przez rodziców do Włoch i Rzymu na całą zimę. Oto wrócił, przesiedziawszy w Rzymie cztery miesiące i nie widział Coliseum. Dlaczego? Dobrał sobie towarzystwo trzech znajomych i we czterech cały dzień w Rzymie spali, a całą noc grali w winta. Norbeć co dzień postanawiał zacząć zwiedzać Rzym, ale jakoś do tego nie przyszło, i wrócił, przegrawszy znaczną sumę. Tacy jesteśmy, babuniu; i gdy o nas chodzi, nie ma obawy, byśmy uczucia i entuzyastyczne zapały postawili po-nad przyzwyczajenia codziennego deptaka! Jesteśmy biedacy! Nawet moralność, nawet zwyczajna uczciwość się w nas chwieje. Z powodu biedy i ogólnej atmosfery, którąbym nazwał kloszem pneumatycznym, z pod którego wypompowano powietrze, popełnia się codziennie w naszej prowincyi tysiące podłości mniejszych i większych, kłamstw, podstępów, oszukaństw. Babunia musiała mieć lepsze czasy i dawną miarę przykłada do nas, którzyśmy zmaleli okrutnie.

— Kochaneczku — rzekła Kierściowa — może Norbeć po to pojechał do Rzymu, by się nagrać w winta dowoli; ale tu w tej piersi — dotknęła ręką piersi Juliusza — rozgrywa się pierwszy akt dramatu.

— I tak zostanie on nierozegrany, bez ostatecznego rozwiązania, bez piątego aktu, bez sceny końcowej, bez wstrząsającego nerwy wykrzyknika, bez runięcia na ziemię. Niech paradyz wybaczy: ani sztyletu, ani trucizny, ani duszenia, ani sceny konania nie będzie. Zdaje mi się, że powinien-bym przeprowadzić mięsną kuracyę, gdybym chciał, by moje barczyste ciało przyzwoicie wyglądało w dramatycznych sytuacyach. Tymczasem trawię tu czas na trwożeniu babuni stanem mojej zagadkowej duszy, a w Zatoczu ludzie korzystają z choroby ekonoma i nie postawią stogu przed wieczorem. W nocy niezawodnie będzie deszcz. Już się od południa chmurzy.

Wybiegł i siadł na konia, który zawsze osiodłany stał w stajni.

— Skrytym jestem i innym być nie umiem — myślał, puszczając konia wyciągniętym kłusem. — Ale tu nie mógłbym powiedzieć prawdy w żadnym razie, bo-by mi poczytano za grzech moje pragnienie powrotu Aliny. Odebrano-by mi ją, a jakimżeto grzechem w ogóle być może, jeżeli człowiek bardzo samotny, uciekający od stolika karcianego z obawy, by się w nim nie odezwała ojcowska namiętność, człowiek, który przecież po ciężkiej, twardej i niewdzięcznej pracy łaknie czegoś, co-by było artyzmem, pięknością, okienkiem otwartem na krainę ideału, że taki człowiek będzie miał przez parę chwil dziennie widok i głos istoty, która pierwsza dała mu poznać, czem jest wdzięk kobiecy w życiu domowem. Można pozwolić bez trwogi, by obok tego biedaka przesunął się czasem cień tego, co mogło było dla niego być wielkiem szczęściem na tej ziemi, a co mu jest niedostępnem, jak głodnemu pokarm wtedy, gdy jego gardło ani kropli przełknąć nie jest zdolne. Niech mu zostanie ta jedyna zwrotka poezyi, ten promień słońca, ten błysk nadziei. O, wcale nie nadziei trwałego szczęścia, ale nadziei, że po dniu spędzonym na śledzeniu ludzi, na usiłowaniu wyzyskania każdego kwadransa czasu robotników, na łajaniu, na karceniu nadużyć, że po takim dniu dobre, słodkie oczy kobiety ukochanej spoczną na nim na chwilę i usta jej powiedzą może: „Ach, jaki pan zmęczony!“ Czy to bardzo ciężki grzech żądać od życia takiej jednej chwilki dziennie?

(Ciąg dalszy nastąpi).

do Berlina, Wiednia i Pesztu i jak się zdaje, znalazł posłuch aż nazbyt chętny.

Do czego to doprowadzi, nie trudno zrozumieć. Kilku szczęśliwców, jak na loteryi, wygra wielkie sumy — dla innych przyjdzie likwidacya. Giełdy, które na lep takim awanturnikom idą, muszą doznać w końcu strasznego wstrząśnienia.

Kronika paryska.

Paryż 1 września.

Z całej olbrzymiej wrzawy francusko-niemieckiej, którą wzniecił obchód dwudziestopięciolecia wojny, prócz rozjątrzenia, podniecenia wzajemnych nienawiści, wreszcie spaczenia ponownego opinii w obu państwach, chylącej się w ostatnich czasach bardzo ku pokojowemu usposobieniu, da się przecież jedno zdrowe ziarno wykroić. Znaleźć je można w dziele p. t. „Przyczyny powodzeń i niepowodzeń w kampanii r. 1870“. Autor, wybitny wojskowy, powodzenie armii niemieckiej przypisuje samodzielności pomniejszych dowódzców, którzy w ważnych chwilach, których „centralna komenda“ nie mogła przewidzieć, umieli się sami zoryentować. Zdanie to wywołało we Francyi silne wrażenie i zdziwienie. Ale dziwić się czemuś podobnemu mogą chyba tylko we Francyi, gdzie nad wszystkiem, co ma tylko styczność z machiną rządową, panuje rzeczywiście maszynowa centralizacya.

Cóż np. innego, jak nie owa centralizacya, przybierająca niekiedy aż pozory socyalistyczne, jest przyczyną, że się przeciąga wyprawa madagaskarska? Wszakże Howasi nie stawiają poważnego oporu? Cóż, kiedy dzięki biurokratycznemu załatwianiu spraw, zapomniano o ważnych rzeczach.

Wylądowanie zwlekało się niemożliwie; zaszła omyłka, tama (warf) okazała się za krótką, okręty dobić nie mogły do lądu. Pułk jeden wyruszyć nie mógł w głąb wyspy: karabinów zabrać zapomniano w Marsylii. Innemu brakło wozów, innemu lekarzy. Czyja wina? Omyłki! Innego winnego nie ma. Bo przecież administracya jest maszyną wyborną, jak chronometr. Jeśli spóźni się o kwadrans, kto docieczе, które zawiniło kółko? Wszakże wszystkie funkcyonować winny były bez zarzutu. Czasem to woźnego wina, że wojsko nie wyruszyło: wstąpił na piwo, gdy wysłano go z raportem o nowych guzikach; bez orzeczenia rzeczoznawców, guzików kupić niepodobna, opóźnienie rosło w każdej dykasteryi i nie było mundurów. A przecież do wyprawy przygotowywano się zwolna, miesiącami!

Nadszedł wreszcie wczoraj oczekiwany z takiem upragnieniem telegram o zajęciu Andriby na Madagaskarze. Pojawia się zresztą na nowo plan, poruszany już od dawna, lecz potępiany przez prasę i prawdopodobnie także przez sfery wojskowe, bo znów indywidualny, aby zamiast z całem wojskiem, biorącem udział w wyprawie, wyruszyć na stolicę Howasów wyłącznie z oddziałem złożonym z wyborowych żołnierzy. Oddział taki byłby naturalnie zdolniejszym do znoszenia niewygód pochodu i łatwiej by go było zaopatrzyć w żywność. Nędzne prowadzenie wojny ze strony Howasów zdaje się potwierdzać to zapatrywanie jenerała Duchesne, że i mniej liczny oddział wystarczy do pobicia tego przeciwnika. Rzeczą jednak jest wątpliwą, czy sfery kierujące w armii zgodzą się na to odstąpienie od pierwotnego planu kampanii, który przeszedł wszystkie instrukcye i został tak na wszystkie strony opisany.

Nie trzeba jednak sądzić, że centralizacya francuska skupiająca wszystko w ręku biurokracyi republikańskiej, a tę znowu w Paryżu, który traktuje jako jedyną godną uwagi miejscowość we Francyi, nie spotyka się z opozycyą, owszem podnosi się coraz częściej i głośniej prowincya, ta prowincya, która pracuje, płaci podatki i czuje prawdziwie po francusku, jeśli nie lepiej, to z pewnością tak samo jak Paryż. Głos tej opozycyi podniósł się obecnie przeciw urządzeniu w Paryżu w r. 1900 wystawy powszechnej.

Podczas kilku lat, poprzedzających wystawę — mówi prowincya — i podczas kilku lat następnych po niej, handel ogólny cierpi w skutek przesadzonych, a w każdym razie nienormalnych wydatków, jakie pociąga, a w każdym razie pociągnie za sobą wystawa. — Z drugiej znów strony twierdzi, że wystawa zapewnia korzyści współzawodnikom zagranicznym; przybędą oni do Paryża, kopiować będą modele, wnikać w nasze tajemnice przemysłowe, a w kilka lat później rozpoczną walkę z nami, wyzyskując taniość swego robotnika, a tem samem i nadzwyczajną taniość swych wyrobów. I na taki cel wstrzymuje się życie narodowe i domaga się tylu wysiłków! Chodzi więc o dostarczenie zagranicy najpewniejszego środka do zwycięzenia nas na rynku wszechświatowym, o powstrzymanie ruchliwości przemysłowej naszych prowincyi, o sprowadzenie do Paryża tłumu robotników, których trudno będzie się pozbyć następnie, o przyśpieszenie wyludnienia i zwiększenia nędzy naszych okręgów wiejskich.

Ale przeciwnicy wystawy wszechświatowej nie gardzą w swej kampanii pomocą Paryża głównie. „Co się tyczy Paryżan, to powiedzą wam oni, że wystawa powszechna napełnia ich zgrozą. Powiedzą wam oni, że oznacza to przez kilka lat przed i kilka lat po wystawie przewrót i zbrzydzenie Paryża. Powiedzą, że podczas sześciu czy ośmiu miesięcy trwania wystawy, Paryżanin nie zna już tego, co Talleyrand nazywa „słodyczą życia“. W czasie tym Paryżanin nie może się udać do restauracyi, ani do teatru, ani na promenadę publiczną, zamówić dorożki, ani w ogóle czynić cośkolwiek. Jest on wydziedziczony i wywłaszczony. A skoro oddalą się najezdni, odczuwa on do nieskończoności podrożenie wszelkich warunków bytu. Wyzyskiwano przez sześć miesięcy prowincyę i zagranicę. Paryżanin będzie wyzyskiwany zawsze. Nie mówcie zresztą, że wystawy powodują jakiekolwiek polepszenia w fizyonomii Paryża. Jest to fałszem! Idźcie do Londynu, do Berlina, do Wiednia, zobaczycie, że pod względem „wygody“ współczesnego życia, nie znamy jeszcze znacznej części ułatwień i znacznej części udoskonaleń, wprowadzonych od dawna już w życie przez naszych współzawodników. Pod wielu względami pozostaliśmy w tyle. Nie mówcie więc, że wystawy wszechświatowe polepszają życie w Paryżu“.

Na podstawie tych i podobnych argumentów starają się francuskie dzienniki prowincyonalne przekonać Izbę o potrzebie odrzucenia kredytów, jakich się rząd domagać będzie dla wystawy powszechnej. Naturalnie, że o odrzuceniu tem nie może być mowy dzisiaj, gdy opracowano już plany, poczyniono przygotowania i pokończono rokowania. Agitacya też ta przeciwko wystawie jedynie z tego względu zasługuje na zaznaczenie, że stanowi ona jeden z objawów wzrastającej na prowincyi niechęci przeciwko stolicy i niechęci do centralizacyi wszystkiego.

Jednak opozycya będzie musiała długo pracować i agitować, zanim zmienić zdoła usposobienie społeczeństwa francuskiego, w którem wiara w jedyną skuteczność interwencyi państwa jest głęboko zakorzeniona. Podczas ostatniej sesyi rad generalnych naprzykład szczególny projekt, cechujący skłonność Francuzów do oczekiwania wszystkiego od państwa, zamiast osobiście występować z inicyatywą, poruszono w okręgu Vaucluse, a mianowicie wyrażono życzenie, aby państwo zarządziło środki przeciwko używaniu gorących napojów i urządzało zabawy, mogące ludności zastąpić życie w kawiarniach i szynkach.

Tymczasem umizgi z Rosyą, idą sobie dawnym trybem. Mianowicie w tegorocznych jesiennych manewrach francuskich weźmie pomiędzy innymi udział jenerał rosyjski Dragomirow jako delegat wojskowy. Rząd francuski, któryby chciał w jak najlepszem świetle wystawić stosunek swój do caratu, skorzysta z tej sposobności, aby reprezentantowi sprzymierzonej armii okazać szczególne względy i wyróżnić go pomiędzy reprezentantami innych mocarstw, a prasa rozdyma tę sprawę do rozmiarów pierwszorzędnej akcyi politycznej i opowiada z zadowolnieniem, że reprezentanci armii obcych otrzymają stałe kwatery w Contrexéville, zkąd codziennie osobny pociąg przywozić ich będzie na pole ćwiczeń, jenerał Dragomirow zaś zamieszka w samym obozie i nad namiotem jego powiewać będzie sztandar głównodowodzącego armii francuskiej. Jest w tem postępowaniu nieco nietaktowności, która na dobitkę nie wyda żadnego korzystnego dla Francyi rezultatu, jak w ogóle chełpienie się z przyjaźni rosyjskiej niesmaczne robi wrażenie. Gdyby traktowano we Francyi poważniej tę sprawę, pewnieby trójprzymierze więcej się liczyło z sojuszem francusko-rosyjskim.

W Paryżu pachnie znowu Panamą. Albowiem w szeregu skandalicznych procesów, bezczeszczących senatorów i deputowanych francuskich, stanęła świeżo sprawa senatora Magnier'a, oskarżonego o branie łapówek od zarządu kolei południowych. Szczegóły oskarżenia musiały być znać ciężkie, skoro sędzia śledczy wydał rozkaz strzeżenia senatora aż do uzyskania od ministra sprawiedliwości rozkazu aresztowania. Jakoż przez trzy dni policya paryska strzegła Magnier'a, towarzyszyła mu wszędzie, oglądała od stóp do głowy każdego przybywającego w odwiedziny, urządziła posterunki w bramie i na schodach, jednem słowem strzegła go tak dobrze, iż senator zdołał uciec, niedostrzeżony przez swych stróżów z ramienia prefektury policyi.

Pan senator widocznie cieszący się niezłym humorem, przypomniał sobie scenę z „Wesołych kumoszek“ Szekspira i w koszu z bielizną, jak się później pokazało, kazał się zawieźć służącym na najbliższą stacyę pod Paryżem, a stamtąd umknął — podobnoś zagranicę.

Przed samą ucieczką jego, jeden z korespondentów dziennikarskich zapytał wprost Magnier'a, o ile uważa oskarżenie za słuszne? Oto, co usłyszał w odpowiedzi: „Może pan być pewnym, że nie odegram w procesie roli ministra Baïhaut, przekonanego o branie łapówek na urzędzie. Cóż tedy zarzucają mi? Żem otrzymał od zarządu kolei południowych sumę dość znaczną? Owszem, otrzymałem ją, bo mi się należała. Przez lat dziesięć w *Evenement* pracowałem nad doprowadzeniem kolei owych do skutku i słusznie należało mi się za to wynagrodzenie. Mogę nawet śmiało o sobie powiedzieć, że jestem jedynym inicyatorem kolei na wybrzeżu południowem. Złożyłem w ministeryum sprawiedliwości referat, w którym usprawiedliwiam fakt wypłacenia mi pewnej sumy przez zarząd kolei. Sumę tę jednak wziąłem nie jako senator, lecz jako wpływowy dziennikarz, popierający te lub owe przedsiębiorstwa finansowe. Zresztą nie przeczę, iż sprawa moja jest zawikłana, choćby z tego powodu, że mam do czynienia z zarządem kolei południowych, złożonym z łotrów z pod ciemnej gwiazdy, którzy będą chcieli zrzucić na mnie część swojej odpowiedzialności. Ale mam nadzieję, że odpowiedzieć im potrafię na zarzuty, a nad przygotowaniem środków obrony pracuję już od kilku tygodni. Co gorsza, pomiędzy mymi dotychczasowymi przyjaciółmi politycznymi znajduje się wielu ludzi, którzy robili to samo, co ja, a teraz wypierają się stosunków ze mną. Tych zdemaskuję przez przedstawienie sądowi odpowiednich dokumentów, które stwierdzą zuchwalstwo i obłudę tych ludzi. Postawię pod pręgierz opinii publicznej cały syndykat kolejowy, który liczy na bezkarność jedynie dlatego, iż ma przyjaciół w ministeryach. Powiedziałem raz, że wymienię wszystkie nazwiska, i dotrzymam słowa. Znam zaś nietylko tajemnicę kolei południowych, ale jeszcze wiele innych. Nie zgniotą mnie tak łatwo, jak innych, jak Reinach'a naprzykład, który wolał samobójstwo, niż walkę. Ja wolę walkę. Powtarzam, że pieniądze, jakie otrzymałem, były słusznem, a umówionem wynagrodzeniem za poparcie w moim dzienniku“. Widocznie jednak pewność siebie senatora Magnier'a osłabła w ostatniej chwili, skoro wolał ucieczkę, niż walkę. Przyjaciele Magnier'a twierdzą, iż nie spodziewał się on tak rychłego rozkazu aresztowania, nie zdążył więc przygotować wszystkich dokumentów, potrzebnych do obrony. Wolał tedy wyjechać z Paryża, aby na wolności pracować skutecznie nad usprawiedliwieniem swych niewinnych czynów.

Ruch przedwyborczy.

Z Bochni donoszą dnia 2 b. m.: Dzisiaj odbyło się zgromadzenie włościan w sali „Sokoła“, zwołane przez komitet rzeszowski. Przybyło przeszło 100 włościan. Zgromadzenie zagaił włościanin Przyborowski. Jego też wybrano przewodniczącym, poczem powołał on na sekretarza dra Bardla, koncypienta adwokackiego. W dłuższej, częścią odczytanej, częścią wygłoszonej mowie, przewodniczący zachęcał włościan, aby wybierali posłami jedynie włościan. Dr. Serafiński nawoływał zgromadzonych do jednolitej akcyi z istniejącym powiatowym komitetem, utworzonym przez powołanych mężów zaufania. Włościanin Jawień postawił kandydaturę p. Meysnera, właściciela dóbr z Wieruszyc. P. Meysner oświadczył, że wtedy tylko kandydować będzie, jeżeli wszyscy włościanie za nim pójdą. Gdy jednak część zgromadzonych prosiła go, aby kandydował, p. Meysner podziękował za objawione mu zaufanie i oświadczył, że kandydaturę swoją stawia. Jeden z włościan sprzeciwił się kandydaturze p. Meysnera, bo „należy on do panów, a panowie chłopów żydom sprzedali“, i postawił kandydaturę Jana Orzechowskiego. Natomiast włościanin Kostuch poparł kandydaturę p. T. Meysnera.

Sekretarz zgromadzenia zachęcał obecnych, aby występowali z przemówieniami przeciw p. Meysnerowi. Zachęcony tem włościanin Krystek z Dziewina użalał się, że szkoda było prasy drukarskiej, szkoda papieru na gazetki, w których ciągle piszą, aby wybierano chłopów, a tu w Bochni stawiają włościanie kandydaturę dwóch panów. W końcu mowca zgłosił kandydaturę Matusika z Niepołomic.

Gdy nikt więcej przeciw p. Meysnerowi nie występował, prosił p. Bardel zgromadzonych, aby zaniechali omawiania kandydatur, a natomiast prosił, aby uchwalili, że zgromadzenie poddaje się bezwarunkowo rozporządzeniom komitetu rzeszowskiego. Tylko kilka rąk podniosło się za tym wnioskiem, który w ten sposób upadł.

Następne zebranie włościan oznaczono na dzień 19 b. m.

* * *

Od ks. dr. Szczeklina z Tarnowa otrzymujemy następujące pismo: W ostatnim numerze *Przeglądu* wyczytałem pomiędzy kandydatami na posła sejmowego z m. Tarnowa moje nazwisko; oświadczam kategorycznie, że o mandat poselski wcale się nie ubiegam, ani ubiegać się nie zamyślam, kandydatem więc nie jestem. Proszę o łaskawe zamieszczenie mego oświadczenia w łamach swego pisma.

Ks dr Karol Szczeklik.

* * *

Z Limanowy donoszą: Dnia 3go b. m., pod przewodnictwem prezesa Rady powiatowej p. Romera, odbyło się tu zebranie komitetu przedwyborczego. Mowy kandydackie wygłosili: Ludwik hr. Dębicki, Antoni hr. Wodzicki, Biedroń i Lechowski. Kandydaturę hr. Dębickiego popierał ks. Koler, hr. Wodzickiego sędzia Ursel. Przy próbnem głosowaniu nad kandydatami, w pierwszem głosowaniu obaj kandydaci otrzymali po 13 głosów, w drugiem głosowaniu hr. Wodzicki otrzymał 15 głosów, hr. Dębicki 13 głosów. Na podstawie wzajemnego poprzedniego porozumienia się hr. Dębicki zrzekł się kandydatury i poparł gorąco kandydaturę hr. Wodzickiego.

* * *

Z Brzeżan. W niedzielę dnia 15 b. m. o godzinie 3ej po południu odbędzie się w sali Rady powiatowej w Brzeżanach zgromadzenie wyborców z mniejszych posiadłości, celem wysłuchania kandydatów i ustalenia kandydatury poselskiej. Na powyższe zgromadzenie imieniem powiatowego komitetu wyborczego zapraszam panów kandydatów oraz wyborców. Brzeżany d. 1 września 1895. Prezes *Wolfarth* mp. Sekretarz *Paulo* mp.

* * *

Z Sambora donoszą, iż dnia 1 b. m. odbyło się tam zgromadzenie przedwyborcze, na którem wygłosili mowy kandydackie pp Feliks Sozański, Teleżyński urzędnik kolejowy ze Lwowa, oraz wójt Nadybski, który w końcu cofnął swoją kandydaturę.

W Muszynie odbyło się dnia 2 b. m. zebranie wyborców, na którem uchwalono jednogłośnie popierać kandydaturę p. Józefa Znamirowskiego, burmistrza m. Krynicy. Wobec kandydatury p Znamirowskiego, który wśród włościan cieszy się wielką sympatyą, wielce jest wątpliwy ponowny wybór dotychczasowego posła z kuryi wiejskiej pow. nowosądeckiego p Stanisława Potoczka.

W pow. żydaczowskim wyłoniła się kandydatura p. Karola d'Abancourt'a na posła z mniejszych posiadłości pow. żydaczowskiego. W powiecie tym jest przeto trzech kandydatów, dwóch polskich, pp. d'Abancourt i marszałek K. Winnicki, i ruski, radykał dr. Oleśnicki.

W pow. złoczowskim zamierza się ubiegać o mandat poselski z gmin wiejskich ks. Daniel Taniaczkiewicz z Zakomarza. Kandydatura ta szans powodzenia nie ma, gdyż w powiecie tym przejdzie na pewno jako poseł minister dla Galicyi JE. p. Apolinary Jaworski.

Z Bohorodczan donoszą: Prócz kandydata p. Józefa Szelińskiego, prezesa Rady powiatowej i ze strony ruskiej p. Kulczyckiego, naczelnika sądu, poruszono tu kandydaturę p. Henryka Potworowskiego, właściciela Radczy.

* * *

Od byłego prof. politechniki J. Jaegermana otrzymujemy następujące pismo: Na podstawie § 19 ustawy prasowej raczy Sz. Redakcya umieścić w następnym numerze *Przeglądu* i w odnośnej rubryce następujące sprostowanie:

„Nieprawda jakobym na zebraniu w Tarnowie zachowywał się iście po żakowsku, co oburzyło wszystkich zebranych, a jeden z wyborców dał mi należytą odprawę; prawdą natomiast jest, że przewodniczący zgromadzenia publicznie w imieniu zebranych włościan dziękował mi serdecznie za moje przemówienie i prosił, abym powtórnie przybył do Tarnowa na zgromadzenie wyborców, które się odbędzie po dokonaniu prawyborów. Nieprawdą jest, jakobym napiętnował szlachtę jako kastę rządzącą, która niestety nic nie robi, traci majątek i Moska w brodę całuje; — prawdą natomiast jest twierdzenie przezemnie wypowiedziane, że wielu z inteligencyi pomiata chłopem, że w naszym kraju między szlachtą a ludem stoi zawsze jako pośrednik — żyd, — i że nawet między kandydatami na posłów, a wyborcami stoi również zawsze jako pośrednik żyd. Nieprawdą jest także twierdzenie, jakobym właścicielowi realności Janowi „Smalec“(sic!) pokazał trzykrotnie z palców zrobioną figę, co wywołało oburzenie między zgromadzonymi; natomiast prawdą jest, że w przemówieniu „moim“ (sic!) wyjaśniłem zebranym włościanom, iż mimo szacunku każdego z nas dla osoby ekscelencyi księcia Sanguszki, tenże jako marszałek Sejmu i kraju nie ma ani czasu ani sposobności zastępywania należytego wyborców mniejszej własności okręgu tarnowskiego, — z czem zebrani włościanie się zgodzili, a protestowali jedynie na zgromadzeniu obecni dwaj księża, trzech żydów, wójt z Radlny Szymczak i właściciel realności ze Strusina Jan Smalec“.

Przypisek Redakcyi. Czyniąc zadość życzeniom p. Jaegermana, zamieszczamy powyższe sprostowanie, gdyż §. 19 ustawy prasowej tak jest wystylizowany, iż zniewala redakcyę do pomieszczenia sprostowań nawet tych faktów, o których prawdziwości jest przekonana. Uwaga ta dotyczy także drugiego sprostowania, zamieszczonego w Kronice.

KRONIKA.

Lwów 4 września.

JE. p. Namiestnik, Kazimierz hr. Badeni, powrócił wczoraj z Przemyśla do Lwowa.

Cesarzowa austryacka przez Zurych i Genewę wyjechała do kąpiel w Aix les-Bains w południowej Francyi, gdzie zamierza pozostać aż do końca b. m. Zarząd hotelu „Splendid“, w którym Cesarzowa zamieszkała, otrzymał polecenie, aby od dnia 17 b. m. przygotował apartamenta dla Cesarza Franciszka Józefa (?) Z końcem miesiąca z Aix-les Bains powróci Cesarzowa do Gödöllö, dokąd po ukończeniu manewrów przybędzie także Cesarz. Z Gödöllö ma Cesarzowa udać się na Korfu.

Poświęcenie nowego gmachu dla gimnazyum polskiego i ruskiego w Przemyślu. Z Przemyśla donoszą dnia 3 b. m.: Dzisiaj przed południem odbyło się uroczyste poświęcenie nowego gmachu dla gimnazyum polskiego i ruskiego w Przemyślu, z czem łączyła się zamiana istniejących dotychczas klas równorzędnych ruskich gimnazyum przemyskiego na samoistne gimnazyum z ruskim językiem wykładowym. Na uroczystość tę przybył JE. P Namiestnik hr. Badeni w towarzystwie wiceprezydenta krajowej Rady szkolnej dr. Bobrzyńskiego, powitany na dworcu kolejowym przez reprezentantów władz miejscowych.

Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem, które odprawił ks. biskup przemyski obrządku gr. kat. Pełesz w auli wspólnej obu gimnazyów, poczem ks. biskup obrz. łać. Solecki wygłosił podniosłą przemowę i dokonał poświęcenia gmachu. Po ceremonii poświęcenia JE. Pan Namiestnik przemówił do licznie zgromadzonej młodzieży obu gimnazyów, przypominając jej obowiązki, a w końcu swego przemówienia podniósł, że wybudowanie gmachu wspólnego dla obu gimnazyów polskiego i ruskiego, nie jest rzeczą przypadku, lecz jest konsekwencyą systemu, przez nasze władze szkolne przyjętego, ażeby młodzież polska i ruska, ucząc się pod wspólnym dachem, pamiętała, że ma wspólną ojczyznę, i że w miłości i w zgodzie ma się wychowywać i kształcić—a następnie działać.

Z kolei przemawiali obaj dyrektorowie gimnazyum polskiego i ruskiego, stwierdzając zgodę i harmonię narodową, która dotychczas w gimnazyach przemyskich panuje, a zarazem dając wyraz żywemu uczuciu wdzięczności dla Najj. Pana, tak za obdarzenie gimnazyum nowym gmachem, jakoteż za

---

77)

PAWEŁ BOURGET.

ZA MORZAMI.

(Ciąg dalszy).

— Spożyć swój lunch? — zapytałem zdumiony — ale czyż będzie on w stanie spożyć choćby jeden kąsek?

— O, nie bój się pan, ma on silne nerwy — rzekł drugi z palących. Idź pan tylko na górę, a zobaczysz, że zajada on z takim samym apetytem jak pan lub ja. Szeryf właśnie przyniósł mu jedzenie przed pięciu minutami.

Rzeczywiście nie mylił się mój interlokutor. Gdy wszedłem po kilkudziesięciu schodach, wiodących na pierwsze piętro i znalazłem się przed kaźnią Seymoura, zobaczyłem go przez żelazne kraty, leżącego w rogu kaźni, z okiem obandażowanem przez pułkownika, jak odbierał obu rękami od jakiegoś starego człowieka jeden talerz z rybą smażoną, drugi z ciasteczkami tudzież butelkę. Starzec ten, który przyniósł mu jedzenie, za chwilę powiesi go, jest to bowiem kat miejscowy, pierwszy urzędnik miasteczka. Nie zwracałem jednak uwagi na tego człowieka, gdyż cały zapatrzony byłem w bandytę, który za chwilę miał umrzeć i który teraz tak smacznie zajadał swój ostatni obiad. Jedną ręką, zranioną i obandażowaną, trzymał talerz na kolanach, drugą zaś odłamywał kawałki ryby i niósł je do ust. Ości trzeszczały pod jego białymi zębami. Olbrzymia porcya ryby zmniejszała się ustawicznie, skazaniec jednak nie spieszył się zbytnio. Gdy połknął ostatnią okruszynę, obrócił się ku mnie i rzekł śmiejąc się:

— Zaniosę tam w górę żołądek pełen ryby.

Następnie przechylił do ust butelkę, zawierającą czarną kawę, poczem zabrał się do talerza ze słodyczami, które spożył również powoli, jak prawdziwy smakosz. W ogóle nikt w tem więzieniu nie śpieszył się. Szeryf gwizdał jakąś aryę, w której wnet poznałem marsz kadetów z Westpointu. Nachylony nad jakąś paczką, wyciągał z niej nową koszulę i kłębek cienkiego sznurka. Ludzie jacyś chodzili po korytarzu to w tę to w ową stronę, prawie każdy z nich rzekł Seymourowi kilka słów, w których nie było czuć ani litości, ani wzgardy. Nawet odcienia jakiejś nerwowości nie dopatrzyłem w całej tej scenie, nic teatralnego ani też żadnej zniewieściałości. Wtem wszedł nowy widz, pułkownik Scott. Szeryf właśnie ubierał skazańca w ową nową koszulę. Ukazał się bronzowy grzbiet jego, chudy a przytem muskularny, jakby fragment jakiejś statuy z bronzu. Jakkolwiek Seymour miał jedną rękę zranioną i nie mógł nią swobodnie władać, jednak po samej grze muskułów można było poznać w nim zręczność kota. To ciało tak silne, tak zdrowe, tak młode, którego sekundy były już policzone, zadrgało lekkim dreszczem za zetknięciem się ze świeżą bielizną. Ten znak delikatności nerwowej jeszcze bardziej uwydatniał odwagę tego młodzieńca dwudziestosześcioletniego. P. Scott tak jak i ja patrzył nań, nie mówiąc ani słowa. Gdy Seymour obmył twarz i ręce, grzebieniem przeczesał włosy i sam złożył ręce na plecach, aby je szeryf związał, pułkownik zapytał szeryfa:

— Czy pozwolisz mi pan pozostać kilka minut sam na sam z Henrykiem?

— Dobrze pułkowniku — rzekł starzec, spojrzawszy na zegarek. — Sprawę naznaczyliśmy na trzy kwadranse na drugą, a obecnie dopiero w pół.

— Dziękuję panu — odrzekł pułkownik — nie zabawimy się długo.

Gdy dawny pan wszedł do kaźni swego dawnego sługi, romantyczna myśl strzeliła mi do głowy. Uroiłem sobie, że pułkownik przyniósł skazańcowi truciznę, chcąc go w ten sposób uwolnić od szubienicy i od ostatnich cierpień. Obrażałem jednak tą myślą starego przyjaciela Lincolna.

Zaledwie krata zamknęła się za pułkownikiem, padł on na kolana, pomógł Seymourowi zrobić to samo i począł się modlić: „Ojcze nasz...“ „Ojcze nasz“ powtarzał mulat—„który jesteś w niebie, święć się wola Twoja!“ „który jesteś w niebie, święć się wola Twoja!“ echem odpowiadał skazaniec, głosem pieszczotliwym, jakby dziecięcym. Odwaga czysto fizyczna i poniekąd bestyalna, którą okazywał przed chwilą, zajadając z takim apetytem swój obiad, nagle uszlachetniła się i wyidealizowała. Chciał on odejść z tego świata nietylko nasycony pokarmem, ale także pojednany z tą jedyną istotą, która była dobrą dla niego w dzieciństwie i dla której czuł szacunek, tj. z pułkownikiem.

Cofnąłem się w głąb korytarza, myśląc, że pułkownik chce coś w sekrecie pomówić ze skazańcem. Seymour bowiem był żonatym, i miał dwoje dzieci, o czem wiedziałem od właściciela hotelu. Jakkolwiek żona nie przyszła tutaj, ale może on chciał jej przesłać ostatnie pozdrowienie. Myślałem o tej zdumiewającej obojętności, z którą ten mulat opuszcza życie, do którego przecież był przywiązany, gdyż był to człowiek zmysłowy i rozpustny. Przyszedł mi na myśl jeden z wielkich myślicieli, z którym na dwa lata przed jego śmiercią przechadzałem się razu pewnego w ogrodzie, w jesieni. „Patrząc na te drzewa, które tracą liść po liściu, — rzekł mi — próbuję nauczyć się umrzeć, ale ciężko to przychodzi“. I zadawałem sobie pytanie, czy ta odwaga Seymoura nie jest tylko udaną i czy dopisze mu aż do końca. W tej chwili właśnie pułkownik wyszedł z kaźni z miną wypogodzoną.

— Umrze dobrze — rzekł do mnie — i zobaczysz pan, jak ci ludzie to odczują.

Mówiąc to wskazał mi otwarte okno wychodzące na plac tracenia, z którego dolatywał hałas coraz bardziej się wzmagający. Czterdzieści osób, którym szeryf pozwolił asystować przy wieszaniu, zgromadziło się dokoła rusztowania. Ludzie ci śmiali się, rozmawiali, gwizdali. Byli to bywalcy szynków phillippeville'skich, a także dowódzcy przy wyborach. Najwięcej między nimi było murzynów.

Była także grupa białych olbrzymów o jasnych włosach, żujących tytoń lub palących fajkę. Zoczywszy nas w oknie, zaczęli hałasować, ale wnet umilkli, poznawszy pułkownika Scotta. Cała ta publiczność składała się prawie ze samych rozbójników, a jednakże i na nią siła duszy skazańca wywrzeć umiała na chwilę wprost magnetyczny wpływ, przepowiedziany przez pułkownika. Gdyśmy tak stali w oknie, usłyszeliśmy kroki szeryfa, który wszedłszy do kaźni skazańca zapytał:

— Czy gotów jesteś Henryku?

— Tak, kapitanie, — odrzekł młody człowiek. Włóż mi tylko to cygaro w usta i zapal je. Starzec włożył mu w usta połowę cygara, leżącą we framudze okna. Pierwszą połowę tego cygara wypalił Seymour jeszcze przed południem, a drugą schował sobie na ostatnią chwilę, chcąc przed śmiercią użyć jeszcze tej małej przyjemności. Tych kilka kłębów dymu, które puszczał, schodząc ze schodów, to było jego pożegnanie życia.

Gdy drzwi na podwórko się otwarły i Seymour zobaczył szubienicę, cygaro wypadło mu z ust. Wnet zapanował jednak nad sobą i śmiało wstąpił po schodach na rusztowanie. Zachowywał się z taką, powiedziałbym godnością że grobowe milczenie zaległo między tymi nieokrzesanymi widzami. Tuż pod stryczkiem, wciąż jeszcze nieruchomo zwieszającym się, znajdowała się deska, przyczepiona do rusztowania dwoma rzemieniami, Seymour stanął na niej. Szeryf związał mu nogi, założył na szyję pętlicę, przykrył twarz czarnym welonem i cofnąwszy się na platformę szafotu, zapytał:

— Czy masz co jeszcze do powiedzenia, Henryku?

— Nic, kapitanie — odrzekł skazaniec, a czarny welon nawet nie drgnął.

— Mów: Panie, wspomnij na mnie w królestwie Twojem — krzyknął donośnym głosem stojący obok mnie pułkownik.

— Panie, wspomnij na mnie w królestwie Twojem — powtórzył pieszczotliwym głosem mulat, po chwili milczenia zaś zawołał: Żegnaj kapitanie (Good by Captain), żegnaj świecie i wreszcie tonem słodszym: „Żegnaj pułkowniku....“

— Jakby instynktownie odpowiedzieli wszyscy: „Żegnaj — Henryku“, a pułkownik z całej siły zawołał: „Żegnaj mój chłopcze!“... „Żegnaj mój chłopcze...“ — powtórzył skazaniec — w tej chwili jednak szeryf jednem uderzeniem siekiery przeciął rzemienie przytrzymujące deskę, która też usunęła się z pod nóg Seymoura, a on runął w dół. Odwróciłem mimowolnie oczy, a gdy po chwili znów spojrzałem na szubienicy, zobaczyłem trupa wiszącego bezwładnie na wyprężonym sznurze, ze złamaną kością pacierzową. Między widzami wciąż panowało milczenie, tylko z ulicy dolatywały krzyki, świsty i śmiechy tłumu, któremu właśnie otworzono bramę, aby zobaczył trupa i skonstatował śmierć skazańca.

— Proszę o spokój, dżentlemeni — wołał szeryf. — Lekarz musi zbadać, czy serce bić przestało.

Na rusztowanie wszedł właśnie jakiś człowiek z miną jowialną, przyciągnął wisielca ku sobie, przyłożył ucho do jego piersi i nasłuchiwał. Po chwili rzekł: „Koniec“ i wypuścił z rąk wisielca, który bujać począł na sznurze. Szeryf zatrzymał ciało i z flegmą posługacza kolejowego, zabierającego się do odnoszenia kufra rzekł:

— A teraz muszę zabrać to ciało.

To rzekłszy wziął do rąk siekierę i przeciął nią stryczek tuż nad głową wisielca. Czterej widzowie na ochotnika przystąpili, zabrali ten ciężar i zanieśli go do trumny, podczas gdy inni widzowie tego ostatniego aktu dramatu, w których teraz po wyniesieniu trupa Seymoura odezwała się ich natura, zaczęli się kłócić o kawałki stryczka. Ja i pułkownik wyszliśmy czemprędzej.

— Nie odprowadzę dziś pana do hotelu — rzekł pułkownik... Przyrzekłem córce, że gdy będzie po wszystkiem, natychmiast dam jej znać, czy biedak pomodlił się przed śmiercią. Ona od dwóch dni jest tak niespokojna. Zawsze to wielka pociecha dla nas, że umarł ze skruchą i że będzie zbawiony....

(Ciąg dalszy nastąpi).

utworzenie osobnego gimnazyum ruskiego. Przy końcu tych przemówień każdy z dyrektorów wzniósł okrzyk na cześć Najjaśniejszego Pana, powtórzony przez zgromadzonych z zapałem trzykrotnie. W tym samym duchu co kierownicy zakładów, przemawiało następnie dwóch uczniów z gimnazyum polskiego i ruskiego — poczem młodzież cała zaintonowała hymn ludowy, który odśpiewaniem zakończyła się uroczystość.

Pana Namiestnika, opuszczającego aulę, żegnała młodzież gromkimi okrzykami.

Z izby sądowej. W procesie czternastu lichwiarzy, wyprowadzonych w pole przez Abrahama Flittera, powychodziły wczoraj charakterystyczne rzeczy na jaw. I tak: aby sobie zapełnić skaptować tych przestępców, Flitter robił im kosztowne prezenta, które pochłonęły rzekomo 3500 zł. Dla żon szajloków kupował kolczyki i brylanty, ich samych wysyłał do kąpiel. Interes był prowadzony na olbrzymią skalę. Flitter wystawiał co dzień po cztery i pięć skryptów, sam zaś procent wynosił dziennie 400 zł. Niektórzy geszeftsmani porobili majątki na tych spekulacyach Flittera. Niejaki Brand np. był biedakiem, a teraz kupił sobie kamienicę za 36.000 zł. Naprawdę stracił tylko Lajzor Gerstenfeld; ale też stracił porządną sumę, bo 20.000 zł., a jak on sam twierdzi, 38.000 zł.

Drugi oskarżony Abraham Spiegel, wypędzony student gimnazyalny, tłómaczy się przed sądem, że skrypta wygotowywał Flitterowi w najlepszej wierze, myślał bowiem, że rozchodzi się tylko o wprowadzenie w błąd żony Flittera dla wydostania od niej pieniędzy. Oprócz tego Spiegel był korepetytorem Flittera, uczył go bowiem czytać i pisać, ale uczeń był podobno bardzo tępy i nie wiele skorzystał z udzielanych mu wskazówek. Następnie rozpoczęło się przesłuchiwanie 26 świadków, pomiędzy którymi znajduje się także czternastu Szajloków, stanowiących oś całego procesu.

Awigdor Reichman, golarz, zeznaje, że „ulokował" w interesie Flittera 1770 zł. Chaim Drechsler, sklepikarz, który zaryzykował 4500 zł. twierdzi, że Flitter zrujnował go kompletnie. Bardzo ożywione stosunki finansowe łączyły Flittera z Mordkiem Pomerancem, który z początku odbierał regularnie swoje kapitaliki i procenta, na koniec jednak, tak samo jak inni, ugrząsł w sieciach Flittera. Pretensye jego wynoszą tylko 1000 zł., gdyż procentami odebrał sobie 600 zł., chociaż Flitter twierdzi uporczywie, że procenta te wyniosły daleko więcej.

Drugi dzień rozprawy zaczął się przesłuchiwaniem dalszych egzemplarzy lichwiarskiej galeryi „ofiar" Spiegla. Lajbuś Gerstenfeld — jeden z trzech Gerstenfeldów, reprezentujących lwią część pretensyi finansowych, jakie wszyscy mają do Flittera — jest fabrykantem octu na Zniesieniu. I jego, podobnie jak innych, zachęcił Flitter przedewszystkiem nadzwyczajną punktualnością w płaceniu pierwszych sum pożyczkowych wraz z procentami. Wszystkiego zatem powierzył Gerstenfeld Flitterowi 25.800 zł., a mianowicie 10.000 zł. własnych, 6800 pożyczonych, 7000 swego syna i 2000 zięcia Abrahama Günsberga. Gerstenfeld — prawdopodobnie z tego powodu, że jest najsilniej zaangażowany w interesie — opowiada przebieg stosunków, łączących go z Flitterem, gorączkowo, chwilami przychodzi nawet do gwałtownych scen pomiędzy obu izraelitami, którzy prawdopodobnie rzuciliby się sobie do oczu, gdyby ich nie mitygowała cokolwiek obecność dwóch pachołków sądowych.

W dalszym ciągu przesłuchano Hermana Gerstenfelda, Abrahama Günsberga i innych świadków, ale wszystkie zeznania są tak suche i nudne, a przytem nie podają nic nowego, co już wiadomo z aktu oskarżenia, że nie warto się o nich rozpisywać. Trochę wesołości do tej szaryzny rzuciło tylko odczytanie przez przewodniczącego całego pliku fałszywych weksli, z których każdy jest ozdobiony nazwiskiem jakiegoś niesłychanego pułkownika, „jenerała" albo „feldmarszałka". Obie ławy dla świadków zajęte są przez szereg brodatych postaci. Są to „ofiary" Flittera. Wszyscy ci obywatele gorączkują się co chwila tokiem rozprawy i obrzucają oskarżonego nienawistnemi spojrzeniami, w których jednak jest prawdopodobnie także trochę szacunku dla jego geszefciarskiego sprytu. Rozprawa skończy się w najlepszym razie dopiero jutro wieczorem.

Wypadek na polowaniu zdarzył się arcyksięciu Władysławowi. Polował on onegdaj w lesie Agya na Węgrzech. Idąc za śladem postrzelonego zbika, szedł arcyksiążę przez las i trącił o strzelbę, która nagle wypaliła. Kula przeszyła na wylot prawą nogę arcyksięcia. Rana jest ciężka, ale życiu nie grozi niebezpieczeństwo. Lekarze z najbliższego miasta Aradu, których wezwano niezwłocznie, łagodzą na razie cierpienia za pomocą injekcyi morfiny. Dzisiaj przybyć mają dwaj profesorowie z Budapesztu.

Oświetlenie elektryczne zaprowadzi u siebie niebawem Rzeszów, który w tym względzie poszedł za przykładem Czerniowiec, Tarnopola i Przemyśla. W Rzeszowie bawił w tych dniach reprezentant firmy „Siemens i Halske". Jeszcze w bieżącym roku wybudowaną ma być stacya centralna, dla której zastępca nabyć zamierza odpowiedni grunt budowlany.

OO. Kapucyni święcą w roku bieżącym 200 rocznicę przybycia swego w mury Krakowa. Z okazyi tej rocznicy odprawiać się będzie w kościele OO. Kapucynów dnia 8, 9 i 10 września uroczyste trzydniowe nabożeństwo z kazaniami i odpustem zupełnym. W tym czasie pozwolonem jest przez Ojca św. zwiedzać klasztor OO. Kapucynów w Krakowie wszystkim, nawet kobietom.

Pomnik Kościuszki. Z Żółkwi donoszą nam: Staraniem naszego Towarzystwa gimnastycznego „Sokół" postawiony został na Wałach królewskich pomnik na cześć wielkiego bohatera narodu, wodza w sierminędze, Tadeusza Kościuszki. Uroczyste odsłonięcie tego pomnika odbędzie się dnia 10 września b. r. o godz. 12 w południe. Program uroczystości jest następujący: Po nabożeństwie w kościele farnym udadzą się uczestnicy na Wały królewskie, gdzie po stosownem przemówieniu pomnik zostanie oddany gminie m. Żółkwi. Wieczorem o godzinie 8 odbędzie się w resursie wieczorek deklamacyjno-muzyczny, w razie zaś pogody festyn ludowy na Wałach.

Burmistrzem miasta Przeworska wybrany został p. Władysław Świtalski, aptekarz.

Z politechniki. P. Kazimierz Koniński, prof. języka włoskiego w lwowskiem konserwatoryum muzycznem, b. tłómacz języków słowiańskich przy ministeryum w Rzymie, mianowany został lektorem języka włoskiego w politechnice lwowskiej.

Małe seminaryum na wzór lwowskiego otworzono staraniem księcia biskupa krakowskiego w pałacu biskupim w Krakowie, częścią z funduszów pozostałych po śp. kardynale Dunajewskim, częścią z funduszów prywatnych ks. biskupa Puzyny. W tym roku znalazło pomieszczenie w nowym zakładzie wychowawczym, mającym ułatwić studya przyszłym słuchaczom teologii, dwudziestu uczniów gimnazyalnych. W miarę funduszów, których przysporzą zapewne wszyscy ofiarni miłośnicy młodzieży, zakład rozwijać się będzie z każdym rokiem pod protektoratem ks. biskupa krakowskiego.

Socyalistyczne rozruchy podczas uroczystości sedańskich w Berlinie nie obeszły się nawet bez rozlewu krwi, przyszło bowiem do starć z policyą która dobyła pałaszy. Tłum w kilku miejscach zburzył i spalił słupy, na których były ogłoszenia o uroczystości i poniszczył dekoracye.

Cholera w Tarnopolu. Piszą nam z Tarnopola dnia 3 bm: Występująca w mieście naszem cholera przybiera z każdym dniem coraz groźniejszy charakter. Zapadający na nią chorzy po większej części nie męczą się długo; śmierć szybko następuje. Dziś umarła żydówka i robotnik zajęty przy aparacie desinfekcyjnym. Ciekawego środka chwycili się zabobonni żydzi ortodoksi, aby tamę położyć szerzącej się wśród nich straszliwej chorobie. Oto wysłali onegdaj małą deputacyę do rabina w Białym kamieniu, obok Złoczowa, aby ten dopomógł im w nieszczęściu. Światły mąż udzielił im następującej rady: „Urządźcie — rzekł on — wesele młodej a biednej pary na cmentarzu, a choroba ustanie z pewnością". No i rzeczywiście uczynili dziś tutejsi żydzi zadość radzie rabina, a nie było nikogo, by przeszkodzić tym wstrętnym orgiom, których widownią był dziś cmentarz żydowski. Przez cały dzień dzisiejszy panował ruch w tutejszem ghetto tak zwanem „Podolu". Zbierano wszędzie dobrowolne datki na mały posag dla biednej pary żydowskiej, która się zdecydowała na wesele na cmentarzu.

Wieczorem o godzinie 6 podążyły na cmentarz olbrzymie zastępy najbiedniejszej ludności żydowskiej, która święcie wierzy w skuteczność podanej przez rabina recepty przeciw cholerze W mieszkaniu grabarza czekała już młoda para otoczona przez krewnych i znajomych. On z zawodu wodziarz, nazywa się Izak Steisel i jest rodem z Buska, ona z zawodu służąca, nazywa się Nesi Klesmar, rodem z Mikuliniec.

Ofiara fanatyzmu i zabobonu współwyznawców swoich nie chciała przystąpić do ceremonii ślubnej, dopóki nie złożono przyrzeczonego posagu w kwocie 50 złr. Tymczasem tłum około dwutysięczny rozgościł się na dobre w miejscu przeznaczonem dla wiecznego spoczynku umarłych, a czynił to z tak dziką brutalnością i bezwzględnością, iż zgroza przejmowała każdego spokojnie na to patrzącego.

By uzyskać dobre stanowisko, z którego wygodnie było można się przypatrzeć ceremonii ślubnej, motłoch bez litości przełamywał baryery, krzewy i młode drzewka, wdrapując się na szczyty pomników. Na wolnym placu, obok grobowca ojca tutejszego rabina, odbył się ślub pary młodej, przy dźwiękach muzyki żydowskiej, która ku uciesze motłochu przygrywała rozmaite wesołe kawałki. Fanatyczni żydzi i żydówki podskakiwali i tańczyli, inni znowu klaskali z radości w ręce, przyczem panował krzyk, zgiełk i ścisk nie do opisania.

Na cmentarzu roznosili chłopcy ciastka i wodę sodową. Dopiero, gdy wszystko cmentarz opuściło, zjawił się urzędnik tutejszego starostwa w asystencyi kilku żandarmów, którzy nie mając już co do czynienia, wrócili do miasta.

Do 12ej godziny w nocy oprowadzano młodą parę przez ulice dzielnicy żydowskiej i w rynku przy odgłosie muzyki harmonik i skrzypiec, przyczem nie obeszło się bez krzyków, hałasów i bitek. Dopiero po północy żandarmerya położyła kres tym wstrętnym scenom.

Dziwić się tylko wypada, że władze nie przeszkodziły w czas tej profanacyi cmentarza, tembardziej, że wobec grasującej w mieście naszem cholery tłumne gromadzenie się osób, mieszkających przeważnie w dzielnicy zarazą dotkniętej, chyba do dalszego szerzenia się choroby przyczynić się może.

O wybuchu w szybie naftowym w Schodnicy donoszą następujące bliższe szczegóły: Przy drodze ze Schodnicy do Kropiwnika, na terenie naftowym, znajduje się szyb p. Wiszniewskiego na obszernem *plateau* około 8.000 metrów kwadratowych, otoczony od wschodu, północy i zachodu wzgórzami. W szybie tym, wierconym na sposób kanadyjski, zauważono przed kilku dniami peryodyczne silne wybuchy ropy i gazów, tak, że dnia 30 z. m., musiano szyb zamknąć. Dnia 31 z. m. obecni byli na terenie szybowym: kierownik ruchu Stanisław Romanowski, wiertacz Władysław Banach, dwaj jego pomocnicy i pięciu robotników, oraz dwaj synowie właściciela szybu Leonarda Wiszniewskiego. Zamierzono otworzyć szyb, w celu dalszego prowadzenia robót. W chwili, gdy wiertacz i jego pomocnicy weszli do wieży wiertniczej, aby otworzyć rurę, nastąpił wybuch i zapalenie się gazów, skutkiem czego powstał pożar na całym terenie. Wiertacz Banach zginął na miejscu, pomocnicy jego Borek i Zabawa, pięciu robotników i obaj synowie Wiszniewskiego ciężkie od poparzenia odnieśli rany. Borek i Zabawa w kilka godzin po wybuchu umarli. Pierwszej pomocy poparzonym udzielił lekarz okręgowy dr. Tenner. Na miejsce straszliwego wypadku przybył niebawem p. starosta Świtalski. Rannych odwieziono natychmiast do szpitala galic. Banku kredytowego. Lekarze orzekli, iż z poparzonych ulegną ranom prawdopodobnie młodszy syn p. Wiszniewskiego i robotnik nazwiskiem Tomasz Czech. Przyczyna wybuchu niewyjaśniona, nie zdaje się jednak prawdopodobną pogłoska, jakoby wybuch spowodowało palenie papierosa, co jest surowo zakazane. Rzeczoznawcy przypuszczają, że atmosfera nad terenem, otoczonym górami, była przesyconą gazami, które mogły się zapalić od lokomobili, położonej na terenie w odległości 30 metrów od wieży wiertniczej. Siła wybuchu była tak wielka, że w budynkach w Kropiwniku o trzy kilometry zatrzęsły się szyby w oknach, a huk podobny do grzmotu słychać było aż w Borysławiu

Z Lubienia piszą nam: W ostatnich dniach dobiegającego sezonu, kreślę niejako to pośmiertne wspomnienie dla tegorocznej kampanii kąpielowej w tym tak niesłusznie i przez publiczność nielicznie stosunkowo odwiedzanym zdrojowisku. Siarka lubieńska przewyższa wszystkie inne znane w Europie źródliska zawartością siarki i żelaza, a błoto lubieńskie nie ma sobie równego. Zakład położony w środku trzydziesto morgowego, wspaniałego parku, tuż przy drodze krajowej Lwów-Sambor, odległy od Lwowa o 29 kilometrów, od stacyi Gródek o 7 kilometrów, posiada okazałe murowane łazienki o 48 wannach, w znacznej części murowanych, wziewalnię, bogatą czytelnię, wspaniałą salę balową, obszerną restauracyę z oszkloną werandą na 100 osób, przeszło 150 pokoi gościnnych pomieszczonych w 8 domach, tworzących czworobok na około łazienek, orkiestrę z Jarosławia, pocztę i telegraf w samym zakładzie, wyborną kuchnię p. Delibińskiego z cenami niższemi od lwowskich, sklep korzenny, dwie kręgielnie, strzelnicę, przyrządy gimnastyczne itp.

Tegoroczny sezon należał bezsprzecznie do najlepszych jakie Lubień miał od swego istnienia. Wszystkie pomieszkania w zakładzie były zajęte, a w przyległej wsi mieszkało kilkaset osób, które nie znalazły pomieszczenia w domach zakładowych. Rozrywek mieliśmy dużo, między niemi 2 przedstawienia amatorskie, koncert „Lutni", 3 wieczorki z tańcami, 2 przedstawienia magiczne, 2 gremialne wycieczki łodziami do pobliskich Czerlan, wycieczkę do sąsiedniego Porzecza, nader dowcipną jednodniówką p. t. „Siarka lubieńska". Kilka razy spalono efektowne ognie sztuczne, a prawie codziennie schodziło się liczne towarzystwo w sali balowej, gdzie uprawiano różne gry i zabawy towarzyskie. Przepędziliśmy czas wesoło i przyjemnie, a opuszczając Lubień z widocznymi skutkami przebytej kuracyi, daliśmy sobie „rendez-vous" w przyszłym sezonie.

W niemałym stopniu przyczyniał się do uprzyjemnienia gościom pobytu sam właściciel Lubienia p. baron Adolf Brunicki, który dając inicyatywę do co raz to nowych rozrywek, łożył dużo na opędzenie kosztów połączonych z zabawą. Rzutki i ruchliwy dyrektor zakładu p. Karol Bratkowski, słusznie przezwany w Jednodniówce *spiritus movens*, dwoił się, troił, żeby być wszędzie i dogadzać rozgrymaszonym kuracyuszom. Wreszcie lekarz zakładu p. dr. Paweł Radecki dopełniał szczęśliwej całości w ogólnym zarządzie i swoją lekarską umiejętnością, uśmiechniętą twarzą i dobrodusznym dowcipem zyskał sobie ogólną sympatyę. Słowem dobre są i skuteczne wody lubieńskie — i zasługują na większe względy naszej publiczności.

Kaprysy przyrody. W tych dniach panowały w Finlandyi — jak donoszą gazety miejscowe — niesłychane upały; wielu ludzi zmarło od porażenia. Równocześnie prawie na jeziorze Ładodze pod Petersburgiem pojawiły się w odległości jednej mili od brzegu olbrzymie góry lodu.

W Palermo spowodował straszne nieszczęście byk, który uciekł ze szlachtuza. Rozszalałe zwierzę schwytało najpierw na rogi 14-letniego chłopca i rzuciło go o mur; nieborak uległ zdruzgotaniu czaszki i odwieziono go konającego do szpitala. Na placu św. Teresy przewrócił byk ośmioletnie dziecko, które również uległo strzaskaniu czaszki i złamaniu rąk; w dalszej swej szalonej ucieczce stratował na śmierć wieśniaczkę, poczem nadział na rogi wózek i podrzucił go w powietrze wraz z zaprzężonym doń mułem. Ludzie, zdjęci trwogą, uciekali przed rozjątrzonem zwierzęciem; zewsząd odzywały się krzyki, wreszcie udało się pewnemu urzędnikowi celnemu zabić je przy Porta Felice. Podobne sceny zdarzają się często w Palermo, albowiem w miejscu, gdzie wyładowywane są przed szlachtuzem zwierzęta, nie zarządzono żadnych środków ostrożności.

Maurycy Jokai, który bawił na kongresie pokojowym w Brukseli, opowiada charakterystyczny epizod z pobytu w stolicy Belgii. — „Nie wyobrażam sobie wcale — pisze on — aby mię każdy miał znać w całym świecie, ponieważ jednak utwory moje były tłómaczone na wszystkie języki europejskie, sądziłem tedy, iż nie jestem tak bardzo nieznanym. Tymczasem w Brukseli, gdym się przedstawiał pojedynczym członkom kongresu, witano mię z chłodem. „Imię moje Maurycy Jokai" — mówię do jednego z członków. — „Bardzo mi przyjemnie" — odpowiada zwięźle. — „Moje imię brzmi Maurycy Jokai" — mówię do drugiego. — „Cieszy mnie to" — brzmi odpowiedź. — „Moje imię Maurycy Jokaj" — przedstawiam się trzeciemu. — „A! deputowany węgierski! Pięknie, pięknie, ja bardzo Węgrów lubię" — mówiąc to, odchodzi. Kolega mój z izby deputowanych, Dionyzy Pasmandy, który aczkolwiek walczy w przeciwnym obozie, jest jednak moim przyjacielem, bardzo się gorszył tą obojętnością. Po chwili uśmiechnął się do swej myśli. — „Ja cię będę przedstawiał" — powiada i głośno woła: „Monsieur Jockey!" — nazwisko wymawiając po francusku. — „Ach, ach! — rozlega się zewsząd — Monsieur Jockey, słynny poeta, powieściopisarz!" — i otacza mię całe grono ludzi. Odtąd sam się już tak przedstawiałem — i zawsze z dobrym skutkiem. Dopiero więc w 70-tym roku danem mi było zrobić odkrycie, iż właściwie mam dwa nazwiska: moje uczciwe węgierskie — i francuskie, zapożyczone ze sportu.

„W skórę". Były profesor lwowskiej politechniki p J Jaegermann nadesłał nam na podstawie § 19 ustawy prasowej następujące sprostowanie:

„Nieprawdą jest jakoby włościanin Smalec rzekł do mnie: pan profesor musi to dobrze wiedzieć, co ja sobie tylko ze szkoły przypominam, że za takie figi biją w skórę, prawdą jest natomiast, że włościanin Smalec tych słów wobec mnie na zgromadzeniu nie wypowiedział".

Zmarli. W Warszawie: Józef Bohdan Oczapowski, były profesor szkoły, a następnie uniwersytetu Jagiellońskiego, przeżywszy lat 65. W literaturze polskiej zajął zaszczytne miejsce jako autor licznych prac ekonomicznych; Józef Tadeusz Polkowski, ceniony artysta-malarz i rysownik, przeżywszy lat 74. — Ludwik Roch Braiter, kontrolor pocztowy, zmarł we Lwowie w 57 r. życia.

Stan powietrza. T. o 9 rano +12° R, w poł. + 20° R. Bar. 770. Spada. Pogoda.

Przy zwiedzaniu zamku.

— Podobno w tym starożytnym zamku jest jakiś rzadki antyk... Czy nie możnaby zobaczyć?

— Nie, proszę pana, bo właśnie pani hrabina wyszła na przechadzkę..

Teatr. Jutro we czwartek pierwsze przedstawienie złożone z wyjątków następujących utworów: „Balladyna" (akt 2-gi), „Zemsta" (akt 4), „Uriel Akosta" (akt 4), „Małżeństwo na próbę" (akt 2), „Wiesław" (tańce). W sobotę po raz pierwszy komedya w 3 aktach z angielskiego p. t. „Niobe". W niedzielę po południu „Podróż naokoło świata".

SPORT.

Wyścigi konne w Budapeszcie. (Zjazd letni).

Dzień siódmy 25 sierpnia. Tragiczna śmierć p. T. v. Jakabffy, o której *Przegląd* donosił w kronice numeru 198 z dnia 29go bm., wywarła bardzo przygnębiające wrażenie na sfery wyścigowe, to też i udział tego dnia był znacznie mniejszy. Jeden był tylko bieg znaczniejszy.

„Nagroda prezydenta", 8.800 koron; meta 2600 metrów. Zapisano koni 11, biegały 4. P. G. v. Rohonczy'ego og. kaszt. 3 l. „Kezdet" po St. Honorat od Beadroll 1, rotm. R. Lebaudy'ego og. kaszt. 4 letni „Nem marad" 2. Totalizator płacił zł. 15 za pięć.

Dzień ósmy 27 sierpnia. „Nagroda Dyrekcyi", honorowa, wartości 2.400 koron i 9.000 koron w gotówce; meta 1300 metr. Zapisano koni 14, biegało 6. Bar. Z. Uechtritz'a og. kaszt. 4 l. „Kozma" po Balvany od Kisböske 1, hr. T. Festetics'a klacz gniada, 4 letnia „Perle d'or" 2. Totalizator płacił 15 za 5.

„Letni bieg próby", nagroda 11.000 koron; meta 950 metr. Zapisano 6 koni, wszystkie biegały. P. R. Wahrmann'a kl. kaszt. 2 l. „Coulisse" po Zsupan od Contremine 1, hrab. T. Festetics'a og. kaszt. 3 letni „Secret" 2. Totalizator płacił 17 za pięć.

Dzień dziewiąty 29 sierpnia. „Nagroda Trybun", 6.000 koron, Handicap; meta 2400 metrów. Mianowano koni 17, biegało 6. Bar. Z. Uechtritz'a klacz kaszt. 3 letnia „Szikra" po Arabi od Sicily (43 klgr.) 1, hr. E. Batthyany'ego og. kaszt. 4 l. „Almos" (60 kilogramów). 2. Totalizator płacił 31 za pięć.

W jednym z pomniejszych biegów tego dnia biegała hr. Józefa Potockiego klacz kaszt. 2 letnia „Mon Espoir" i między 12 końmi stanęła u mety pierwsza; założono jednak protest przeciw wygranej, gdyż jeździec objechał jedną z chorągiewek tor odgraniczających. Protest uznany został za ważny i nagrody jej nie przyznano.

* * *

Dnia 27-go sierpnia w Baden-Baden „nagrodę przyszłości" 4000 marek dla koni dwuletnich, meta 1200 mtr. wygrał p. R Wahmann'a ogier kaszt. „Trivial" po Triumph od Vinaigrette.

Od r. 1880 jest to dwunasty koń w Austryi wychowany, który tę nagrodę wygrał.

Tamże dnia 29-go sierpnia o „nagrodę jubileuszową" puhar złoty i 56.000 marek, meta 2200 mtr. biegała wychowana u hr. Jana Tarnowskiego w Chorzelowie klacz kaszt. „Panama" będąca dziś własnością hr. Trautmannsdorffa, ale przyszła między ostatniemi. Biegało koni 6. W roku 1876 tę samą nagrodę wygrał „Przedświt".

O „Panamie" pisze jedno ze sportowych czasopism wiedeńskich: „Zdaje się, że na „Panamie" dają się właśnie teraz mocno czuć skutki naszego systemu. Wyczerpano ją dwuletnią, biegała co tylko mogła, tak, że już miała dosyć, nim osiągnęła trzeci rok życia. Potem nastąpił jeden zawód po drugim; przeszłej jesieni krótki błysk świecącej niegdyś jasno gwiazdy, a potem znowu tryumfy się skończyły. Prawdopodobnie tego roku już dobrej formy nie pokaże.*)

Część ekonomiczna.

Wiedeń 2 września.

(Z) Giełda berlińska była dziś z powodu uroczystości Sedanu zamknięta, brakło więc naszym spekulantom bodźca zwyżkowego. Pomimo to jednak tendencya targu była silna, a obroty, zwłaszcza w pierwszem stadyum, dosyć znaczne. Zwłaszcza w walorach bankowych ruch panował wielki. Kredyty i bankvereiny kupowano dużemi partyami, te ostatnie z powodu odbyć się mającej za kilka dni subskrypcyi na pożyczkę bośniacką. W ostatniem stadyum wywiązał się także żwawy ruch w walorach kolejowych, zwłaszcza w Statsbahnach. Targ rent również był ożywiony, a kursa się poprawiły.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 409·70, węgierskie 491·50, Anglobanki 176.—, Uniony 356·25, Bankvereiny 175·—, Länderbanki 186·10, Ludwiki 223·75, Czerniowieckie 325·—, Elbethale 292·75, Renta papierowa 101·20, srebrna 101·45, austryacka złota 122·50, 4% austr. renta wal. kor. 101·50, węgierska złota 122·50, 4% węgierska renta wal. kor. 100·—, dukat 5·71—, 20-frankówka 9·58, marki 11·80, ruble 1·29½.

§ **Sprawozdanie** tygodniowe izby handlowej i przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 24 do 31 sierpnia 1895 r. — bez opłaty akcyzowej: Pszenica stara 6·50 do 7·90, pszenica nowa 0·— do 0 —, żyto stare 5·75do 6·95, żyto nowe 0·— do 0·—, jęczmień browarny 5·— do 5.85, jęczmień pastewny 0·— do 0.—, owies 5·25 do 5·65, hreczka 7·50 do 8·—, kukurudza zeszłoroczna 0·— do 0·—, kukurudza nowa 8·50 do 8·75, proso 0·00 do 0·00, groch do gotowania 6·— do 8·—, groch pastewny 4·50 do 5·—, soczewicza 0·— do 0·—, fasola 0·— —·—, bobik 4·50 do 5·—, wyka 4·50 do 4·60, koniczyna 40·— do 60·—, tymotka 18·— do 22·—, anyż rosyjski —·— do —·—, anyż płaski —·— do —·—, kminek —·— do —·—, rzepik zimowy 8·25 do 9·—, rzepak letni —·— do —·—, lnianka 0·— do 0·—, nasienie lniane 0·— do —·—, nasienie konopne 0·— do 0·—, chmiel 80·— do 107·—, nafta zwykła 17·50 do 18·50, nafta salonowa 18·50 do 19·50, wosk ziemny —·— do —·—, Spirytus 10.000 litr. pr. gotowy kontyngentowany, bez podatku konsumcyjnego 14·35 do 14·70.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.**

Kraków 3 września.

Z powodu małych dowozów krajowego zboża odbyt był bardzo łatwy, a nawet za pszenicę płacono o parę centów drożej; żyto chętnie kupowano, wskutek czego skorzystało na cenie o 5—10 centów; jęczmień na słód poszukiwano po dobrych cenach.

Płacono nową pszenicę białą: —·—, czerwoną 7·30 do 7·55, żółtą 7·30—7·55, żyto n. 6·20 do 6·50, jęczmień browarny 6·50 do 7·25, na paszę 5·60—5·90, owies stary 5·60 do 6·— zł., wykę 0.00—0.00 zł., rzepak 9.15—9.25. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Z targu na bydło.** Wiedeń 2 września. Na dzisiejszy targ dowieziono wołów galicyjskich 1044, wołów węgierskich 4464 i wołów niemieckich 1441, razem 6949 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 58 do 62, dobre ciężkie 63 do 65, prima 66 do 67, za buhaje i krowy 22 do 33 na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, dom komisowy bydła, Wassergasse 23.

Telegramy „Przeglądu".

Kaplice 4 września Wczoraj, w drugim dniu manewrów, obie armie nieprzyjacielskie starły się ze sobą dwa razy, ale bez rezultatu. Dyspozycya manewrów była następująca: ósmy korpus posuwać się miał w tym samym kierunku co onegdaj i rozpocząć walkę na całej linii, czternasty korpus zaś miał zaatakować nieprzyjaciela z całej siły. Obie strony prowadziły energiczną offenzywę i uporczywie starały się przeprowadzić zadanie, jakie sobie wytknęły. Cesarz kilkakrotnie wyrażał swe wielkie zadowolnienie z przebiegu manewrów.

Aquila 4 września. Podczas wczorajszych manewrów runął koń, na którym jechał król Humbert. Król wstał rychło na nogi i dosiadł tego samego konia, to też wiele osób wcale nawet nie zauważyło tego wypadku.

Brooklyn 4 września. Na linii kolejowej Seabeat, wjechała lokomotywa z tyłu na jadący przed nią pociąg osobowy. Pięćdziesiąt osób jest ciężko rannych.

Belgrad 4 września. Wczoraj odbyło się w cerkwi tutejszej uroczyste „Te Deum", celem podziękowania Bogu za ocalenie króla z grożącego mu niebezpieczeństwa utonięcia. Na nabożeństwie byli wszyscy dyplomaci, ministrowie i inni dostojnicy, między nimi były regent Risticz. Wieczorem illuminowano wiele domów. Dziennik urzędowy donosi, że król otrzymał od wszystkich monarchów europejskich gratulacye z powodu szczęśliwego ocalenia.

Kisjenoe 4 września. Arcyksiążę Władysław (syn palatyna węgierskiego) który postrzelił się w nogę na polowaniu, przebył noc wczorajszą bardzo niespokojnie i zasnął dopiero nad ranem. Lekarze sądzą jednak, że niebezpieczeństwa nie ma żadnego, gdyż chory nie ma wcale gorączki.

Lublana 4 września. Wczoraj w nocy dało się znów uczuć krótkie, ale bardzo gwałtowne wstrząśnienie ziemi.

Peszt 4 września. Arcyksiążę Władysław przyjechał tu dziś rano. Z dworca odwieźli go rodzice, arcyksiążę Józef i arcyksiężna Klotylda do szpitala czerwonego krzyża.

Londyn 4 września. W izbie niższej oświadczył dziś podsekretarz stanu Curzon, że odpowiedź Turcyi na propozycyę mocarstw w sprawie Armenii jest niezadowolniająca. Projekt reform, doręczony Turcyi, nie uzyskał wprawdzie aprobaty Niemiec, Austro-Węgier i Włoch, pomimo to jednak sądzić można, że i te mocarstwa sympatyzują z nim i doradzają Turcyi, by życzliwie nad nim się zastanowiła.

*) Bei „Panama" scheinen sich eben die Folgen unseres Systems jetzt stark fühlbar zu machen. Als zweijährige wurde sie abgesetzt, sie lief, was sie laufen konnte, so dass sie bereits genug hatte, ehe sie das dritte Jahr erreichte Dann kam Enttäuschung auf Enttäuschung, im vorigen Herbst ein kurzer Aufflackern des einstigen hell leuchtenden Sternes, und dann war es wieder aus. Heuer dürfte sie aber kaum mehr eine gute Form zeigen können.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spółka.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 3 września. J. Franz z Zawałowa. Dr. T. Bąkowski z Baranowa. J. Torosiewicz z Kujdaniec. M. Jasiński z Wołynia. J. Świderski z Brodów. Dr. A. Loewy z Niska. N. Lippoczy z Tallya J. Wolgner ze Stanisławowa. Ks. Dzerowicz z Toporowa.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 3 września. JEx. generał O. br. Gagern i podpułkownik E. Böhm-Ermolli z Wiednia. K. Wierzchleyski ze Stawczan. M. Gąssowska z Warszawy. St. hr. Zamoyski z Wysocka. B. hr. Stecki z Nadycza. W. Niezabitowski z Łanek. J. Pieniążek z Dembicy. Dr. Z. Korotkiewicz z Krakowa. Wł. Fedorowicz z Rzeszowa. E. Rościszewski z Polski T. Bentz i P. Doerry z Wrocławia.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 4 września (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 222·50 do 225·50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 324·50 do 327·50, Banku hypotec. [illegible] po 200 zł. w. a. 4·5.— do —.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250 — do 260.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.60 101·30, Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat 100·70 do 101.40, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 98·10 do 98·80 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·10 do 98.80, 4 proc. los. w 56 lat. 98·10 do 98·80.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 98·40 do 99·10 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.25 do —.— Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.10 do 102.80 Pożyczki kraj. 6 proc. 105— —.—, 4 pół proc. 100.50 do 101.20, 4 proc. z r. 1891 97·90 do 98 60, 4 proc. po —.— koron z roku 1893 98·— do 98.70.

Monety. Dukat cesarski 5·67 do 5.77, Napoleondor 9.55 do 9.65, Półimperyał 9.80 do —.—, Rubel rosyjski papierowy 1.30 do 1.31, 100 marek niemieckich 58.80 do 59 40.

Wiedeń 4 września (godz. 11 w połudn.) Kredyty 409.50, kred. węg. —.—, Anglobanki 176.—, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 288.60, Akcye tytoń. —.—, Staatsbahny 410.15, Lomb. (z kup.) 112·25, Elbethale —.—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 59.07, Losy tureckie —.—

DWIE KUZYNKI

POWIEŚĆ

przez **Katarzynę Green.**

(Przekład z angielskiego)

(Dokończenie).

„Słowa te raziły mnie, jak piorunem.

„Dopuściwszy się zbrodni po to tylko, aby ją sobie zdobyć dla siebie, dowiadywałem się, że należy już do innego!

„Wobec tak okropnego dla mnie odkrycia straciłem zupełnie głowę i w napadzie obłędu, zapominając o wszelkich względach bezpieczeństwa i rozsądku, wskazałem go, jako mordercę p. Leavenworth.

„W chwilkę potem byłbym oddał wszystko na świecie, byle cofnąć te słowa; jedynym ich skutkiem mogło być zwrócenie uwagi na moją własną osobę, albowiem nie miałem żadnych faktów na poparcie oskarżenia.

„Po całonocnej rozwadze i namysłach, postanowiłem zasłonić się przesądnem przeczuciem, zwracając podejrzenia p. Raymond w tę stronę, a to, żeby je od siebie odwrócić.

„Nie miałem jednak zamiaru posunąć się dalej na tej drodze, lecz z pewnych oznak już poprzednio zauważyłem, że p. Raymond skłania się sam przez się ku temu podejrzeniu, a nadto podsłuchałem rozmowę dwojga służby, z której dowiedziałem się, że p. Clavering wszedł do domu Leavenworth owego wieczora, w którym spełnione zostało morderstwo, lecz że nikt nie widział, aby wychodził.

„Mając fakt taki za punkt wyjścia, mogłem śmiało budować nadzieje.

„Na drodze mojej stała tylko Hanna. Dopóki ona żyła, nie miałem chwili spokoju. Postanowiłem więc zgładzić ją ze świata, a jednym zamachem zemścić się na p. Clavering. Lecz w jaki sposób? Po długich namysłach, doszedłem do przeświadczenia, iż planu mego dopnę najsnadniej, manewrując w ten sposób, aby ona sama odebrała sobie życie.

„Obmyśliłem szczegóły tego projektu i przeprowadziłem go niezwłocznie.

„Zamknąwszy się na klucz w moim pokoju, napisałem do Hanny list drukowanemi literami (mówiła mi, że kursywy czytać nie umie), w którym, korzystając z jej ignoracyi, śmiesznego uczucia dla mnie i z przesądności irlandzkiej, mówiłem, że ją kocham, że śni mi się co nocy i że w obawie, aby o mnie nie zapomniała, posyłam jej talizman; prosiłem ją, aby zażyła cudownego proszku, wedle moich wskazówek: miała list mój zniszczyć, następnie wziąć do ręki pakiet w liście zawarty, połknąć proszek i do łóżka się położyć.

„Proszek był silną dozą trucizny, zaś pakiet zawierał zeznanie, pisane moją ręką, a oskarżające Henryka Clavering.

„Zapieczętowałem je w kopercie, odznaczyłem ją krzyżykiem, wedle umowy i zaadresowałem do mrs. Belden.

„Nastąpił wówczas dla mnie okres największego niepokoju. Choć nie położyłem na liście podpisu, czułem jednak, że wprowadzam policyę na mój trop.

„Wszystko teraz zależało od dobrej wiary we mnie Hanny. Jeśli pakiet otworzy, lub obawiać się będzie zażyć proszek i radzić się zechce mrs. Belden, albo jeśli zapomni list mój spalić — będę zgubiony.

„O rezultacie mogłem się dopiero dowiedzieć z dzienników. Odczytywałem skwapliwie wszystkie gazety, za każdem silniejszem poruszeniem dzwonka, przyjmowały mnie dreszcze.

„Łatwo też pojmiecie, z jaką radością wyczytałem przed kilku dniami wieść o śmierci jedynego świadka w tej sprawie, którego obawiać się mogłem...

„W sześć godzin potem, otrzymałem wezwanie od p. Gryce... Niech mury więzienne dopowiedzą reszty... Ja już mówić, ani działać nie mogę. Jestem człowiekiem złamanym."

XXXIX.

Zakończenie.

— Oh! Eleonoro! — zawołałem, wpadając do niej — przygotuj się pani do bardzo dobrej wieści; zabarwi ona rumieńcem w blade policzki i przywróci blask twym cudnym oczom, nada znowu urok twemu życiu.

— Cóż to takiego? — spytała. — To, co uważasz za dobre wieści, dla mnie obojętnem jest może. Jedną dobrą wieścią byłoby mi...

— Powiedz mi pani: co? powiedz szczerze— rzekłem, ujmując jej rękę.

Milczała. Przygniatało ją brzemię podejrzenia. Nie domyślała się, że podejrzenia te oparte są na pomyłce, że nie ma powodu obawiać się przeszłości, teraźniejszości, ani przyszłości.

Lecz gdy jej oznajmiłem prawdę, gdy z całą delikatnością i taktem, na jaki się zdobyć mogłem, wyłuszczyłem jej, że sprawcą morderstwa jest Trueman Harwell, nie zaś Mary, którą posądzano niesłusznie:

— Prowadź mnie pan do niej!— zawołała.— Oh! jakżeśmy ją skrzywdzili. Zaprowadź mnie pan do niej natychmiast. Nie będę miała spokoju, dopóki na kolanach jej nie przeproszę. Oh! jakże byłam niesprawiedliwa! Jak mogłam ją o to podejrzywać!

Widząc w jakiem jest podnieceniu, kazałem sprowadzić powóz i pojechałem z nią do domu Leavenworth.

— Mary mną pogardzi — biadała w drodze — nie zechce nawet spojrzeć na mnie i będzie miała słuszność. Zniewagi takiej zapomnieć, ani przebaczyć niepodobna. Lecz Bóg mi świadkiem, że miałam wszelką podstawę do podejrzeń. Gdybyś pan wiedział...

— Ja wiem — przerwałem — Mary przyznaje sama, iż dowody przeciwko niej były tak oczywiste i niezbite, iż sama siebie pytała, czy jest zupełnie bez zarzutu.

— Mary to powiada?

— Tak. Dziś to mówiła.

— Ha! musiała się bardzo zmienić.

Nic na te nie odpowiedziałem, pragnąc, aby się sama przekonała, jak wielka zmiana zaszła w jej kuzynce.

Po chwili powóz zatrzymał się przed portykiem i wraz z Eleonorą wszedłem do domu, który był świadkiem tylu smutków.

Moja najdroższa była także przeobrażona zupełnie. Policzki jej nabrały dawniej świeżości, a oczy — blasku. Promień nadziei, wciskając się do jej duszy, ożywił całą jej istotę.

Kamerdyner Tomasz ucieszył się bardzo, ujrzawszy swoją panią.

— Miss Leavenworth jest w salonie — rzekł, kłaniając się nisko.

Eleonora była tak wzruszona, że chwiała się na nogach. Prosiłem ją, aby usiadła i uspokoiła się trochę.

— O nie, pójdę do niej natychmiast — rzekła — czekać już nie mogę.

Szybkim krokiem przebyła sień i odsuwała portyerę, aby wejść do salonu, gdy uchylono ją z przeciwnej strony.

— Mary!

— Eleonoro! — Młode kuzynki padły sobie w objęcia.

— Czy zdołasz mi przebaczyć? — mówiła wśród łez Eleonora.

— Zapomnijmy przeszłości, ja jej się wstydzę — brzmiała cicha odpowiedź.

Patrząc na te dwie kobiety, czułem, że cień nieporozumienia pierzchnął już na zawsze, że odtąd zacznie się dla nich szereg dni jasnych i pogodnych.

Cofnąłem się dyskretnie, aby nie przeszkadzać piewszym wylewom pojednania.

Po upływie pół godziny ujrzałem przed sobą Mary, lecz jakże zmienioną.

Twarz jej nabrała niezwykłej, pokornej jakby słodyczy. Dumna, wyniosła piękność złagodniała, świeciła teraz łagodnym blaskiem.

Wyciągnąłem do niej ręce i uścisnąłem dłonie jej z przyjaźnią i szacunkiem.

Wzruszyło ją to widocznie.

— Dziękuję — szepnęła — dużo panu zawdzięczam, choć oceniłam to teraz dopiero, lecz nie mogę jeszcze o tem mówić, zanadto jestem wzruszona pańską dobrocią. Przyszłam tu uprosić pana, abyś skłonił Eleonorę do przyjęcia z rąk moich tej fortuny. Ona jej się z prawa należy. Stryj chciał jej przekazać ten majątek i gdyby żył...

— Czy pani zastanowiłaś się nad tą ofiarą? — spytałem. — Czy nie będziesz potem żałować tych pieniędzy?

— Jak możesz się pan o to pytać?

Mr. Clavering siedział przy Eleonorze, gdyśmy weszli do salonu.

Powstał natychmiast.

— Mr. Raymond — rzekł odciągnąwszy mnie na bok — masz w posiadaniu swem dokument, który czyni ujmę zarówno mnie, jak i Mary. Słowa te były zniewagą, chciałbym ślad jej zniszczyć.

— Oddam panu papier ten z przyjemnością — odparłem. — Zapomnijmy o smutnych zajściach. Przyszłość się do nas uśmiecha.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i powróciliśmy do naszych ukochanych.

Eleonora pozostała niewzruszoną w swem postanowieniu.

Nic zgoła skłonić jej nie mogło do przyjęcia fortuny, zbryzganej krwią jej dobroczyńcy.

Za wspólną zgodą kuzynki przeznaczyły ją na dobroczynne cele.

KONIEC.

Odpowiedzialny redaktor Wacław Mostowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hojak.